Nr. 42. Warszawa, dnia 7 (20) Października 1900 r. Rok XX.

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

***Adres: Sadowa Nr. 14.***

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



## POLITYKA.

### REFORMY FRANCUSKIE.

Dnia 5 listopada zamykają Francuzi wystawę powszechną, d. 6 listopada otwierają ściśle francuską—wystawę swego Zgromadzenia narodowego. Będzie na niej co widzieć, zwłaszcza pieniących się i miotających narodowców (nacyonalistów), którym rząd przed oczyma rozpościera już czerwoną chustę reform, godzących w trzy właśnie zasadnicze namiętności, czyli, jak się mówi w żargonie logiki, idee, stronnictwa: klerykalizm, militaryzm i monarchizm. Pięciu aż ministrów złożyło się na reformatorską pracę tak bliskiego już sejmu: spraw wewnętrznych, szkół, skarbu, wojny i handlu. Od czterech pierwszych Izby otrzymają po jednym projekcie: nowe prawo o stowarzyszeniach, prawo o kwalifikacyi urzędników państwowych, nowy wymiar podatków, zmianę porządku mianowania oficerów przez prezydenta; ostatni, Millerand, obdarzy je całym koszem pomysłów ulepszających stosunki ekonomiczno - społeczne.

Dwa pierwsze projekty są dziećmi jednej matki: wydała je trwoga przed klerykalizmem. Od czasów Boulangera ultramontanizm francuski przebywa metamorfozę, której charakterystycznem upostaciowaniem są właśnie nacyonaliści, na żyznym gruncie procesu Dreyfussa spotężniali. Dawny ultramontanizm był abstrakcyjnym, teoretycznym, ciążył ku Rzymowi a obracał się ku niebu, z religijności miał rdzeń swych dążeń, mienił się w odblaskach Wieków Średnich, oddawał się marzeniom o uniwersalizmie religijnym i sam też był więcej uniwersalnym, niż francuskim. W dzisiejszym nacyonalizmie pojęcia, uczucia i marzenia wyznaniowe są tylko środkami do celów praktycznych, ziemskich, nienurzających się w mgłach marzeń i tęsknot; wchodzą w amalgamat ogólnej doktryny, dającej rozpęd i same przez się nie znaczyłyby nic, gdyby nie były koniecznymi stopniami do ołtarza, na którym odbierać ma cześć narodowe bóstwo zachowawczości. Nie o religię i prawdę religijną chodzi tym dzisiejszym klerykałom nacyonalizmu, ale o księdza, chłopa i studenta; ich chcą dla siebie pozyskać, przez nich i z nimi wziąć Francyę na łańcuch, wymieść rzeczpospolitę i zapewnić szczęście — przedewszystkiem sobie samym, a potem narodowi, przez zaprowadzenie w nim takiego porządku, w którymby król, żołnierz, ksiądz w bratniej trójcy nad dobrem jego pracować mogli.

Ideałem jest zatem monarchia, ale nie z dynastycznych pretensyj wyrosła. Monarchia narodowców nie ma być martwym przekazem historyi spłaconym przez żywe dzieje; ma rzeczywistością odpowiedzieć na głos pożądań, z głębi żywego społeczeństwa, wobec grożących przewrotów i przekształceń wołający o ratunek; występuje jako samorodna, nie narzucona z zewnątrz, a wydoskonalona forma tej zachowawczości, która jest duszą doktryny rozpędowej. To właśnie czyni ten szał nacyonalizmu niebezpiecznym dla rzeczypospolitej, i rzeczpospolita też broni się od niego, godząc w klerykalizm, jako w podłoże najogólniejsze i najoczywistsze jego mrzonek polityczno-społecznych. Francya, ugrzązłszy raz w błędzie, jeszcze za konsulatu, nie może się z niego wywikłać; rzeczpospolita tak dobrze jak cezaryzm, ma jedną tylko metodę działania: zapewnianie sobie siły przez ograniczanie, a nawet deptanie wolności. Nowe prawo o stowarzyszeniach ma raz na zawsze postawić zasadę bezprawności każdego zespolenia, którego rząd wyraźnie nie zatwierdzi, a nowe prawo o kwalifikacyi urzędników wymaga przynajmniej dwu lat szkoły państwowej od młodzieńca wstępującego do państwowej służby. Oba te środki, będąc nierepublikańskimi, są niezależnie od tego skazanymi już z góry na bezpłodność. Oczywiście, szkoły klasztorne wraz z samymi zakonami zupełnie nawet mogą zniknąć, dwulatki kandydujący do posad będą otrzymywali maturę z monopolówek państwowych: a jednakże dążenia klerykalno-monarchiczno-zbawcze po dawnemu wody republikanom mącić nie przestaną.

Zamiast gnieść i strącać innych, lepiej podnosić samego siebie. Postarać się o prawdziwy republikanizm i prawdziwą rzeczpospolitą, o istotne ludowładztwo, o demokracyę na podstawie praw człowieka opartą: a nie będzie potrzeba do rządów republikańskich używać starych kagańców i kajdan. Edukacya polityczna narodu dokonywa się ciągle pod działaniem dodatnich jego instytucyj, a nie ujemnie powściągających zakazów. Na jedno kopyto można robić tylko buty — nie można kształcić społeczeństwa, ani narodu. Owszem, zostawić jak największą wolność i w takiej wolności zorganizować najwyższą siłę — taki powinien być cel prawdziwego republikanizmu. Ale we Francyi zmieniają się tylko etykiety: stary kwas centralizmu, monopolu wszechrządowości— zatruwa wciąż organizm narodu, usiłuje oszukać naturę, która jednak oszukać się nie da. Co pewien czas tłumione czynniki wybuchają na wierzch i sprowadzają przewrót. Jeżeli jest instytucya, która najmniej czuć na sobie powinna żelazną rękę przymusu, to właśnie szkoła, która jako funkcya, nie do państwa, ale do spo-

łeczeństwa samego prawowicie należy. Monopol szkolny i rzeczpospolita — to sprzeczność zasadnicza, tak głęboka, że tylko endemiczną chorobą Francyi wytłomaczyć ją można.

Z pozostałych przepisów dotyczący zmiany przy nominacyach, niezawodnie wywoła burzę. Podcina on klikę, którą proces Dreyfusa ukazał w całej wspaniałości. Co klice klerykalno-monarchicznej nie przypadło do smaku, to nie awansowało, było pomijanem, zostawianem na jutro. Nowy projekt nakazuje przedstawiać wszystkich mających tytuł do stopnia i pozostawia wybór samemu prezydentowi. W projekcie skarbowym znowu niema jeszcze podatku dochodowego — lęka się go kapitał, lęka rząd potrzebujący kapitału, lęka filister czyhający na miliony. I tu znowu rdzenny obowiązek demokracyi i republikanizmu wrzucony do ciemnicy. Projekty pana Milleranda mają wprowadzić ulepszenia w mrowisku społecznem zarobkowo-wytwórczem, ale jakie — dowiemy się d. 6 listopada. P. Milleranda przestał się już filister francuski lękać. To nie lew już — to biedny stolarzyna za lwa przebrany.

## Zatarg czesko-polski w Cieszyńskiem.

(Dokończenie).

Nasuwa się pytanie, dlaczego właśnie demokratyczne, ludowe żywioły na Szlązku są usposobione wrogo względem Czechów, kiedy starsze, konserwatywno-klerykalne pokolenie narodowców szlązkich nietylko czechizacyi nie zwalcza, ale wypowiada się nawet za czeskiem prawem państwowem, jak to uczynili posłowie polscy na sejm opawski? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy przyjrzeć się bliżej procesowi „odczeszczania“ się Cieszyńskiego.

Mamy tu do czynienia, właściwie mówiąc, z dwoma procesami, z których każdy w jednakowym stopniu jest dla panowania czeskiego w Cieszyńskiem niebezpieczny.

Pierwszy — to żywiołowy wzrost ludności polskiej na Szlązku, dzięki napływowi mas robotniczych do ostrawsko-kraińskiego rewiru węglowego. Już w r. 1867, kiedy po wojnie prusko-austryackiej nagle zwiększył się popyt na węgiel i nie wystarczało już rąk roboczych ludności miejscowej, do samych kopalń ostrawskich w ciągu paru miesięcy przybyło przeszło cztery tysiące robotników polskich z Galicyi. Od tego czasu robotnicza imigracya polska z Galicyi płynie niepowstrzymaną falą na Szlązk i do Ostrawy. W tej ostatniej dziś ludność polska liczy kilkadziesiąt tysięcy głów (biorąc pod uwagę i okolice Ostrawy Morawskiej), zbudowano tam „Dom polski,“ odbywają się odczyty uniwersytetu ludowego, zakłada się szkołę polską, ma powstać pismo polskie itd. Napływ polskiej ludności robotniczej do kopalń, hut i fabryk całego rewiru ostrawsko-karwińskiego przyczynił się nietylko do proporcyonalnego, ale i absolutnego zmniejszenia się żywiołu czeskiego w Cieszyńskiem. Wynędzniały i ciemny galicyjski proletaryat rolny obniżał płacę roboczą i wypierał robotników czeskich, stojących na znacznie wyższym stopniu kultury, mających większe wymagania i potrzeby życiowe. Robotnik-Czech ubiera się lepiej i lepiej jada, prenumeruje pisma, należy do stowarzyszeń itd. Robotnik zaś galicyjski, świeżo ze wsi przybyły, zadawala się byle czem i przez to uniemożliwia konkurencyę z nim robotnikom czeskim. Ci ostatni więc opuszczają Szlązk i udają się do Czech północnych, do Austryi Dolnej, do Wiednia, gdzie względem Niemców odgrywają zupełnie takąż samą rolę, jaką robotnik galicyjski na Szlązku względem nich samych.

Ma więc praska *Politik* słuszność, wykazując na podstawie spisów ludności z lat 1880—90, że ludność czeska zmniejsza się i topnieje, ale zupełnie niesłusznie przypisuje to fałszowaniu danych statystycznych na korzyść Polaków. Jak Wiedeń lub Czechy północne czeszczą się, tak Cieszyńskie polonizuje się dzięki czysto mechanicznemu procesowi ludnościowemu.

Ale proces ten trwa już od lat przeszło dwudziestu, gdy tymczasem stosunki polsko czeskie w Cieszyńskiem zaogniły się dopiero w ostatniem dziesięcioleciu. Skutek to drugiego, również doniosłego czynnika — stopniowego dochodzenia do świadomości narodowej i wkraczania na arenę czynnej polityki szerokich mas ludności polskiej.

Starsze pokolenie narodowców szlązkich najzupełniej nie dbało o uświadomienie ludności, napływającej z Galicyi. Opierając się na warstwie „siedlaków“ (właścicieli 70—100 morgowych posiadłości) i na szczupłej sferze inteligencyi, narodowcy, działając przeważnie po miastach, wytężyli wszystkie swe usiłowania w kierunku pomnożenia polskiej inteligencyi na Szlązku i zwalczania germanizacyi. Masy robotnicze, pozostawione sobie, bardzo łatwo ulegały wpływom czeskim i — jakeśmy już mówili—czeszczyły się, przynajmniej powierzchownie.

Tymczasem na Szlązk poczęły oddziaływać inne prądy, idące od Krakowa. Działacze krakowscy udają się na Szlązk i poczynają budzić masy, dotychczas zupełnie ignorowane. Polskie wydawnictwa, polskie zgromadzenia i mowy w ciągu kilku lat budzą je z uśpienia. Czechizacya idzie coraz wolniej, lud przychodzi do świadomości narodowej i czynnie opiera się czechizacyi. Młoda inteligencya polska — lekarze, notaryusze, nauczyciele, przeważnie napływający z Galicyi, a poczęści i z miejscowych żywiołów,—przeniknięta poglądami demokratycznymi pracuje nad tym ludem i uświadamia go pod względem narodowym. Obok dawnych klerykalnych i czesko - polskich pisemek na Szlązku pojawiają się pisma ludowe, demokratyczne, ostro krytykujące czechizatorskie praktyki młodoczechów i zagrzewające lud do obrony: *Głos ludu szlązkiego* i *Równość*.

Pod wpływem tych pism i działalności organizatorsko - agitacyjnej ich redaktorów i kierowników nawet takie sfery, które można było uważać już za całkowicie stracone dla polskości, odzyskują swój dawny charakter narodowy. Walka o szkoły polskie, o polskie kazania w kościołach, o wybór Polaków do rad gminnych zamiast Czechów, o obsadzenie posad lekarzy fabrycznych Polakami toczy się

---

**Piotr Loti.**

# Miasto różowe.

*Jeypore, w maju 1900.*

Przybywa się tu, jadąc przez kraj, który kona. Spustoszenie spowodowane suszą i kurzem ogarnia sto mil. Dwa razy minął okres deszczów, ani jednej dżdżystej nie napędziwszy chmury: to też łąki nie wydają już traw, a drzewa — liści. Rzekłbyś, pustynia, — a były to żyzne równie, kędy pasły się trzody, kędy zieleniły się pola jęczmienne i ryżowe.

Wszakże wokół miasta trwa dawne ożywienie. Aleje drzew umarłych, ciągnące się aż pod wysokie, zębiaste mury, aż pod łukowe wrota stolicy, pełne są wozów ciągnionych przez woły, wielbłądów, jeźdźców w białych szatach i kobiet strojnych w długie, żółte i czerwone zasłony: barwy i życie, jak za czasów obfitości.

Ale cóż to za ponure stosy łachmanów pod samymi murami? Z pod łachmanów widoczne są kształty ludzkie... Cóż to więc za ludzie, gromadami leżący naziemi? Byliżby to pijacy, chorzy? Nie, są to zgłodzeni, szkielety, mumie! A jednak ruszają się jeszcze i żyją jeszcze te powieki i patrzą źrenice. A oto są wśród nich, którzy się podnoszą i chwieją, stając na długich kościach, bowiem trudno nazwać te kości nogami...

Gdy minęło się pierwszą bramę, ukazuje się druga, wyrżnięta w murze wewnętrznym, który aż po samo blanki pomalowany jest na kolor różowy, na kolor różowej wstążki w drobne, białe kwiaty, przypominające rysunkiem wzór kretonów. A i tu na grubej warstwie kurzu leżą całe gromady ludzi zczerniałych, jakby starzanych w popiele, strasznych na czarującem, różowem i kwietnem tle muru. Rzekłbyś, szkielety obciągnięto juchtem; kości uwydatniają się z przerażającą dokładnością; łokcie tworzą grubo kule, jak gałki na lasce; uda zaś, mające jedną tylko kość, są cieńsze od łydek, które mają po dwie kości. Leżą już to rodzinami, zbici w kupę, już to samotnie — opuszczeni; jedni konają wyciągnięci na wznak, inni trzymają się jeszcze, skuleni, nieruchomi, ogłupiali, z oczami, w których płonie gorączka i z zaciśniętemi na długich zębach ustami. W jakimś kącie siedzi na łachmanach staruszka bez ciała, siedzi sama, samiuteńka i płacze w milczeniu.

Kiedy u wylotu tych podwójnych wrót ukazuje się miasto, oczy chłoną zdumienie i zachwyt.

Wielkie, różowe miasto, całkowicie i w jednej barwie różowe, na własność mieć obsiać wszystkie swoje domy, mury, pałace, świątynie jednakowymi bukietami białego kwiecia, jakaż to dziwna zachcianka władcy! Rzekłbyś, że powleczono wszystkie mury jakąś starą, indyjską gazą we wzór kwiatowy, rzekłbyś, że to miasto wzniesione z dwukolorowej, starej mozaiki zeszłego wieku. Widok ten nie ma sobie podobnych i czyni chwilami wrażenie czegoś uroczego a zupełnie nieprawdopodobnego.

Ulice na kilometr długie, wyciągnięte pod sznur, dwa razy szersze od bulwarów paryskich, ozdobione wysokimi pałacami o fasadach, które wyobraźnia wschodnia wyposażyła w nieskończoną ilość odmiennych szczegółów. Nie spotka się nigdzie takiego dziwacznego nagromadzenia kolumnad, łęków tworzących fontanny, wieżyczek, balkonów i koronkowych *mirado-rów*. A wszystko to jednako różowe, wszystko w jednakiej barwie materyi, czy też kwiatu; najdrobniejsza zaś rzeźba, najdrobniejszy arabesk uwydatniony zawsze na włos cienką, białą linią. Części rzeźbione wyglądają jak gdyby były obite białą pasmanteryą, podczas gdy części gładkie znaczą się niezmiennie barwami starej mozaiki i starych, poblakłych bukietów.

A wzdłuż ulic roją się tłumy, płynie morze olśniewających, niezliczonych barw.

Na chodnikach, po obu stronach ulicy, tysiące kupców rozkłada wystawy materyj, przedmiotów sporządzonych z miedzi i zbroi; uwijają się wśród nich kobiety, okryte zasłonami w wielkie, fantastyczne

coraz zawzięcej, z coraz mniejszem powodzeniem Czechów. Walka ta przybiera niekiedy takie formy, że cała opinia publiczna polska daje wyraz swemu oburzeniu na Czechów.

Głośną np. jest sprawa szkoły w Dąbrowie — czysto polskiej gminie, uważanej przez Czechów za czeską. Do r. 1870 w gminie tej była polska szkoła, ale na skutek agitacyi i presyi młodoczeskich inżenierów zastąpiono w niej polski wykład czeskim. Kiedy nareszcie ludność polska przyszła do świadomości i napowrót przekształciła tę szkołę na polską, młodoczescy inżenierowie zorganizowali protest. Mianowicie 103 rodziców czeskich, posiadających 224 dzieci, wniosło skargę do szkolnej Rady krajowej. Sprawa ta jednak zakończyła się sromotną porażką czechizatorów, ponieważ okazało się, że *żaden* z tych rodziców „czeskich“ nie umiał po czesku.

Wobec takich wyników tych protestów czechizatorom nie pozostawało nic innego, jak zakładać czeskie szkoły prywatne. W czysto-polskiej gminie Łazach założono taką szkółkę, a chcąc ją zapełnić polskiemi dziećmi, uciekano się do wcale nie-„braterskich“ sztuczek. Oto inżenierowie wyrzucali z domków robotniczych tych rodziców, którzy nie chcieli dawać dzieci na czechizacyę, a towarzystwo zaliczkowe (czeskie) udziela pożyczek tylko zwolennikom szkoły czeskiej.

Walka Czechów z żywiołem polskim nierzadko doprowadza do tego, że rodzice polscy wolą posyłać swe dzieci do szkoły niemieckiej (Michałkowice), aniżeli czeskiej.

Bywa i tak, że w szkole polskiej katecheta-Czech uczy dzieci religii po czesku, jak to jest w Orłowej. Wywołuje to coraz większe oburzenie i walka zaostrza się niesłychanie. Głośna sprawa forytowanego przez Czechów lekarza, Donata, z Niemieckiej Lutynii, wzburzyła górników, którzy na olbrzymich zgromadzeniach protestowali przeciwko narzuconemu im wbrew ich woli Czechowi, kiedy oni żądali lekarza Polaka.

Widząc, że sprawa hegemonii czeskiej w Cieszyńskiem upada coraz bardziej, inteligencya młodo-czeska wysila się na sposoby zachowania dawnych wpływów, zakładając liczne stowarzyszenia (zwykle bez członków), pisma (które upadają bardzo prędko, jak *Hlasy z Ostravska*, *Svietlo*, *Dielnicke noviny*) itd. Nic to jednak nie pomaga, bo lud polski doszedł do świadomości i czeszczyć się już nie da, a z Galicyi wciąż napływają rzesze robotnicze i jednostki inteligentne, wypierające ustawicznie żywioł czeski.

Nie żadne sztuczne a nietrwałe ugody, nie powaga orzeczeń Akademii umiejętności, lecz żywiołowy proces społeczno-polityczny rozstrzygnie ostatecznie spór czesko-polski w Cieszyńskiem. Że rozstrzygnięcie to nie wypadnie na korzyść Czechów, z tem ci ostatni muszą się pogodzić. Mogą się pocieszać zresztą tem, że ludność czeska czyni takież same zdobycze na Niemcach w Czechach północnych, jak Polacy na Czechach na Szląsku.

*Leon Wasilewski.*

---

**Tydzień polityczny.** W Chinach Waldersee wybiera się do Pekinu, a sprzężeni Europejczycy wybrali się nareszcie do Pao-tingu. Anglicy swoim, Francuzi, Niemcy i Włosi — ci zwłaszcza są tam potrzebni — swoim dworem. Siły są znacznie szczuplejsze od przewidywanych. Bokserzy uwijają się pod Hong-kongiem. W Kwantungu (prowincya) rosną w liczbę. Zaczyna się z nich wyłaniać nowa sekta „trójcy“ i wiele już do myślenia daje politykom europejskim. Cesarz Kwangsu wydał d. 1 b. m. nowy dekret karny: Kangyiego ściąć, księcia Ciba i księcia Tsaiłana do śmierci więzić, Tuana oddać do robót ciężkich na pograniczu. Nie zadawala to dyplomacyi: nie widzi przestępców jawnych z kategoryi znakomitości, nie widzi i rękojmi, że sprawiedliwość chińska nie podstawi jakichś pospolitych zbrodniarzy. *Kuryer warszawski* radzi dyplomatom delegować z pomiędzy siebie świadków egzekucyi. Mądrej rady zapewne dyplomaci usłuchają. Na cesarza wykonano jakoby zamach; sprawca jakoby już ścięty. Dwór chiński przenosi się istotnie do Hsi-ngan-fu, na porzeczu Wei-ho, dopływu wielkiej rzeki Żółtej. Rokowania dotychczas nawet nieutorowane.

Na miejsce rozwiązanego we wrześniu parlamentu Anglia będzie miała nowy. Wybory dały zwycięztwo imperyalizmowi. Chamberlain górą. Wróżą mu premierstwo. Do d. 14 b. m. wybrano 398 rządowych, 178 liberalnych, 80 Irlandczyków. Ponieważ posłów wszystkich jest 670, ci zatem, których jeszcze braknie, niczego już nie zmienią.

W Transwalu jeszcze się Boerowie ucierają z przemocą.

---

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### SPOŁECZEŃSTWO A MŁODZIEŻ.

Istnieją w społeczeństwie pewne nastroje i prądy, zdrowe niewątpliwie w swoich zasadach i dążeniach, lecz kryjące się wstydliwie przed wszelką jawnością, bo obawiają się szyderstw, jakiemi zostaną powitane, gdy zechcą zabrać głos publicznie. Entuzyasta, który w niewielkiem gronie przyjaciół powziął pewną ideę, cofa się przed chłodnem a pogardliwem przyjęciem, gdy chodzi o wygłoszenie tej samej myśli w liczniejszem gronie, świadom, iż narazi się na śmieszność, podnosząc podobne zagadnienia. Pożyteczny nastrój, nie doznając poparcia, zanika, zwarzony przez „trzeźwe“ dotknięcie rzeczywistości.

W liczbie takich kwestyj, skazanych na milczące wegetowanie, znajdują się zagadnienia, dotyczące hygieny fizyologicznej dorastającego pokolenia. Sprawy te, jak najżywotniejsze, są dotknięte jakby wyklęciem. Żadne „szanujące się“ pismo, dbałe o „moralność“ czytelników swoich, nie podniesie tych pytań, chociaż to mu nie przeszkadza popularyzować nazwisk autorów, w najniezdrowszy sposób rozpalających wyobraźnię czytelników, lub robić reklamę tłustym operetkom, obliczonym na rozbudzanie najmniej ludzkich instynktów. Nawet rodzice w rozmowie z dziećmi lękają się tych zagadnień, powstrzymywani dziwną pruderyą. Skutki tego są jaknajfatalniejsze: dziewczę dowiaduje się tajemnic fizyologicznych, dopiero wychodząc za mąż, a niekiedy smutnem doświadczeniem zdobywa wiedzę, od której zależy szczęście osobiste, chło,-

---

wzory; nagie ich ręce przystrojone są aż po ramiona w obręcze błyszczące.

Środkiem ulicy wre ruch bezprzestanny: przesuwają się jeźdźcy o srebrnej zbroi, na przepysznych siodłach; ciężkie wozy, zaprzężone w zeby o malowanych rogach; powiązane w długie szeregi wielbłądy; słonie, przybrane w szaty złociste o trąbach upstrzonych setkami wzorów. Przeciągają też dromadery, idąc lekkim kłusem z podanemi naprzód szyjami, podobne do strusi w biegu; każdy z nich niesie po dwie osoby, usadowione jedna za drugą; przechodzą fakiry całkiem nadzy, przysypani białym pyłem od stóp do głów; kołyszą się lektyki — rzekłbyś, że to wielka, odświętna procesya magicznego Wschodu, korowód ujęty w ramy z bajecznej, różowej mozaiki.

I służebni króla prowadzą na spacer oswojone królewskie pantery, ponure a jednak śmieszne: mają na głowach małe czapraczki haftowane, pięknie związane pod szyją i idą, stawiając aksamitne łapy z niesłychaną ostrożnością. Dla bezpieczeństwa trzymają je za skręcone ogony czterech zaś służebnych postępuje w orszaku za niemi.

Lecz spotyka się tu też postacie bardzo żałobne, o których rzec by można, że uciekły z grobów — postacie pokrewne owym istotom, leżącym u bram miasta... Oto śmieli wejść do pięknego, różanobarwnego grodu i ośmielają się wlec po nim kości swoje!.. Jest ich nawet więcej, niżli zdawać się mogło na pierwszy rzut oka. Ci, co oto chwieją się na nogach, rzucając naokół błędne spojrzenia, nie są sami: na chodnikach, wśród kupców i barwnych wystaw, rysują się straszne kłęby łachmanów i szkieletów. I przechodnie zmuszeni są zbaczać z drogi, aby nie stąpać po kościach...

Upiory te, to wieśniacy z równi okolicznych. Odkąd nie było deszczu, a nie było go od wielu lat, walczyli z konającą ziemią i długoletnie cierpienia sprowadziły na nich owo wychudzenie, dla którego niema imienia. Dziś wszystko już skończone. Bydło wyzdychało, gdyż nie starczyło paszy, skórę zaś sprzedano za bezcen. Pola dawniej uprawne zamieniły się w stepy kurzawne i spalone, gdzie nie porośnie trawa. Aby się módz pożywić, sprzedali odzież, obręcze srebrne, któremi zdobili ramiona i kostki. Wychudli w biegu lat. Poczem rozsiadł się na dobre głód, zabójczy głód — i zapach trupi wypełnił przestrzenie wiejskie.

Jeść! Jeść chcieli i oto dlaczego przywlekli się do miasta. Zdawało im się, że ulitują się tu nad nimi, że nie pozwolą im umrzeć, doszły ich bowiem słuchy, iż gromadzono tu ziarno i mąkę, jak w porze oblężeń i że w obrębie tych murów wszyscy jedzą.

I w istocie, wozy ciągnione przez woły i całe stada wielbłądów znoszą tu każdej chwili worki ryżu i jęczmienia, które król sprowadzać każe z daleka; i wypełnia się tem spichlerze, i składa się to nawet na chodnikach w obawie przed szorzącym się głodem, który że wszystkich stron zagraża pięknej, różowej stolicy. Lecz to zboże się kupuje, na to zaś trzeba pieniędzy. Król niewątpliwie każe rozdzielać ziarno między ubogich, zamieszkujących jego stolicę. Nie starczyłoby wszakże zapasów dla wieśniaków, którzy tysiącami konają na równinach okolicznych, więc nikt nie niesie im pomocy. Błądzą tedy po ulicach, krążą wokoło miejsc, gdzie ludzie jedzą, w nadziei, że ktokolwiek rzuci im parę ziarnek ryżu, no — i wybija godzina, i padają gdziebądź, padają twarzą na chodniki i konają...

A oto właśnie przed spichlerzami, zda się, nazbyt pełnymi, mają złożyć z jakie sto worków ziarna. Muszą to zładować z wielbłądów na chodnik. Tymczasem miejsce na ten cel potrzebne zajęte jest przez troje drobnych dzieci, przez trzy nagie szkielety dziecięce. Najmłodsze ma może pięć, najstarsze — dziesięć lat.

— To są trzej bracia — objaśnia mię jakaś sąsiadka — przyprowadzili ich tu ze sobą rodzice i pomarli (rozumie się z głodu); więc zostali i leżą; nikogo już nie mają.

Mówi tak, jak gdyby to uważała za rzecz zupełnie naturalną, a jednak nie wygląda na złą kobietę... Boże mój, cóż to za naród? I czemże jest dusza tych ludzi, którzy nie zabiliby za nic w świecie ptaszka, a dzieciom pozwalają konać u swoich progów?

pice zaś puszczony jest samopas i oddany w ręce szarlatanów.

Nie chcemy twierdzić, ażeby czasy powściągliwości takiej minęły. Pragnęlibyśmy jedynie wskazać pewne objawy, których istnienie świadczy o chęci podjęcia jawnego drażliwych zagadnień, oraz o tem, iż pewne nastroje zdrowe, jak rzekliśmy, w swoich podstawach, ale kryjące się wstydliwie, ośmielają się zabrać głos publicznie. Mamy głównie na myśli pytanie, dotyczące hygieny fizyologicznej dorastających młodzieńców, a mianowicie oszczędzania młodego, jeszcze nieokrzepłego organizmu. Powieść i dramat, publicystyka i popularne prace naukowe zwróciły się w tym kierunku, śmiało podnosząc zagadnienie o powściągliwości fizyologicznej, dopóki ciało nie dosięgnie zupełnej dojrzałości. Pobudki, któremi kierują się piszący, argumenta, których używają na poparcie tezy swojej, brzmią bardzo rozmaicie: niektóre odznaczają się naiwną powierzchownością, inne wychodzą z przesłanek bardzo filisterskich, ale, co jest w danym przypadku rzeczą najważniejszą, wszystkie te próby śmiało podejmują wyklętą kwestyę i nie lękają się szyderskiego przyjęcia, tak mrożącego podobne zamiary i głosy. Jedni występują z pobudek wyłącznie moralnych, pragną zabezpieczyć młodzież od zetknięcia się ze światem sprzedażnej miłości, innym chodzi o stronę fizyczną, mianowicie o uchronienie młodzieży od różnych niemocy ciała, które jej zagrażają wobec braku doświadczenia. Inni jeszcze, jak to uczynił słynny powieściopisarz skandynawski, Bjornsterne-Björnson, w swym dramacie *Rękawiczka*, dowodzą, iż młoda dziewczyna, wychodząca za mąż, ma prawo domagać się od przyszłego swego małżonka takiej samej przeszłości fizyologicznej, jaką mu wnosi w posagu — niezbrukanych uczuć i czystości ciała. Jeszcze inni, jak dr. Körnig, którego dziełko doczekało się przekładu na język polski, opierają się na założeniach, przypominających zasady epikureizmu: wyrzeknijmy się, powiada on, przedwczesnych przyjemności, ażeby nie rujnować sił ciała i nie zamykać przed sobą niebacznie obfitego źródła przyszłych wrażeń. Wreszcie istnieją i tacy, którzy rzecz stawiają zgoła inaczej — na gruncie obywatelskiej użyteczności. Chodzi im o stworzenie w społeczeństwie dzielności ducha, zasobu poświęcenia i zapału. Łączą oni głos swój z głosem Björnsona i nawet epikurejczyków, ażeby szerzej oddziałać na opinię młodego pokolenia: wszystko im jedno, czyje argumenty trafią do przekonania młodzieży, byleby tylko trafiły.

Z tych głosów, przyznamy się otwarcie, sympatyą naszą cieszą się te, które rozpatrują sprawę z punktu pożytku ogólnospołecznego.

Przedwczesne użycie rujnuje organizmy, nieokrzepłe jeszcze w odpowiednim stopniu. Zasób energii życiowej, którym rozporządza dojrzewający dopiero okaz, nie znosi wydatku na inne, niż na cele bezpośredniego wzrostu i okrzepnięcia organizmu. A tymczasem zużycie jej, a tembardziej nadużycie płciowe w tym okresie życia odciąga ją w innym kierunku, uboży całe ciało, a wreszcie jak najujemniej wpływa i na umysłowość jednostki, niszcząc tam tak cenne pod względem społecznym przymioty, jak entuzyazm i wogóle gorące przejęcie się zagadnieniami nieindywidualnej natury. Wyczerpanie szybko ogarnia przedwcześnie wycieńczany organizm, a najsubtelniejsze strony ducha, przedewszystkiem zaś ów zapał, który siły swoje mierzy na zamiary, ów entuzyazm, który nie pyta się, ilu jest przeciwników, a tylko gdzie się oni znajdują, te właśnie strony pierwsze ulegają rozstrojowi. Przemiany te duchowe, oraz towarzyszące im wyczerpanie fizyczne odbywają się nieraz w bardzo krótkim przeciągu czasu i tą szybkością swojej reakcyi ciało nasze składa najwymowniejsze świadectwo o szkodliwości dla niego przedwczesnego nadużycia. Znaliśmy wielu młodzieńców w tej przełomowej porze życia, jak są lata szesnasty, siedemnasty i następne. Żywy temperament, wrażliwość na zagadnienia ogólniejsze, subtelność moralna i wreszcie zapał dla każdej szlachetnej idei cechowały wielu z pośród nich. Był to przewyborny materyał na przyszłych obywateli kraju, łaknących czegoś więcej nad zapewnienie sobie dobrobytu, ofiarnych, gotowych do poświęceń. Po jakimś roku wyglądali zgoła inaczej. Starczyło krótkiego przeciągu czasu a ulegli kompletnej zmianie. Szklany, przyćmiony blask oczu, apatya względem wszystkiego, co nie miało bezpośredniego związku z natychmiastowem brutalnem użyciem, cynizm zarówno w sprawach codziennego życia, jako też i w promieniu zagadnień ogólniejszych, zwłaszcza zaś nieznany im dawniej duch karyerowiczostwa lub nienaturalnego nawet w tak młodym wieku pesymizmu, wszystko to świadczyło o głębokiem oddziaływaniu na nich jakiejś przyczyny i zubożeniu ich organizmu. Co zaś oddziałało, zbyteczna nad tem zatrzymywać się po uprzednich wywodach. Hodowcy bydła rasowego z doświadczenia znają to wyczerpujące i osłabiające działanie, jakie wywiera trwonienie przedwczesne siły rozpłodczej samców. Okaz, który gdy zupełnie okrzepnie, zniesie bez najmniejszego uszczerbku dla swojej dzielności i rozpłodczości kilkakrotnie większe wydatkowanie energii, znaglony do niej w młodym wieku rujnuje siły swoje na zawsze. Praktyka zootechników mogłaby powołać się na przykład postępowania domu austryackiego z synem Napoleona pierwszego, któremu jaknajwcześniej umożliwiono rozpustę, ażeby złamać silnego ducha, jaki w spadku po ojcu mógł był otrzymać. Doświadczenie moje, odniesione z obserwacyi młodzieńców, doznało potwierdzenia jeszcze i z innej strony. Przekonałem się, iż ilekroć miałem do czynienia z starcami, którzy pomimo sześciu i nawet siedmiu dziesiątków lat wieku zachowali rumieniec na obliczu, a co ważniejsza zapał w oku i wrażliwość na szersze zagadnienia, prawie zawsze mogli pochwalić się, iż dzięki sprzyjającym warunkom zatrzymali czystość swoją do czasu, kiedy ich organizm dosięgnął zupełnej dojrzałości.

Sprawa więc pewnej wstrzemięźliwości, dopóki siły ciała nie okrzepną doskonale, posiada wielką doniosłość społeczną. Historyę ludów robią bowiem nie wielkie umysły, a raczej wielkie charaktery i wrzące natury, one to pchają je po drodze postępu, humanitarności, poświęceń. Im naród powien jest szczodrzej uposażony w ludzi zapału, w entuzyastów wszelakiego rodzaju, tem obfitsze środki rozwoju i wielkości kryje w swojem łonie. Społeczeństwo nie może zatem patrzeć obojętnie na trwonienie niebaczne tych skarbów

---

Najmłodszy dzieciak zdaje się być najbliższym końca. Leży bez ruchu, nie ma sił, aby odpędzić muchy, uczepione jego zamkniętych powiek; brzuszek ma tak spłaszczony, jak gdyby wyjęto zeń wszystkie wnętrzności i wskutek czołgania się i leżenia na twardym chodniku kości miednicowe przetarły skórę i wyszły na wierzch.

Ale cóż, trzeba ustąpić miejsca.

Najstarszy podnosi się, z tkliwością bierze na rękę najmłodsze biedactwo, drugą ręką ujmuje średniego, który może jeszcze chodzić i tak idą sobie, w milczeniu.

Aż tu najmłodszy otworzył na chwilę oczy. Wielki Boże! Cóż to za spojrzenie! Jaka się w niem maluje trwoga, i wyrzut, i zdziwienie, że taki jest nieszczęśliwy, taki opuszczony i tyle cierpieć musi!.. Lecz rychło zwierają się umierające powieki, muchy czepiają się ich na nowo i biedna, drobna główka opada na ramię brata.

Ten chwieje się trochę, lecz bez jednej łzy, bez szemrania zabiera z sobą młodsze rodzeństwo, jak gdyby czuł się głową rodziny. Jest poprostu nadzwyczajny w tej swojej rezygnacyi i godności dziecięcej. Ogląda się, mierzy okiem przestrzeń, którą uszli, zdaje się ważyć, czy oddalili się na tyle, aby nikomu już nie przeszkadzać i ze zdumiewającą ostrożnością układa na ziemi obu chłopczyków i sam wyciąga się obok nich.

Na placu głównym, gdzie zbiegają się najpiękniejsze ulice, szczególny zbytek tego miasta splata się w najprzedziwniejsze obrazy. Strzelają w obłoki kurzawy, w wiry czarnego ptactwa piramidy świątnic brahmańskich, całe, caluteńkie różowe, podobne do wielkich, różowych cisów, pokrytych białem kwieciem. Różowa jest i osiana białymi kwiatami fasada pałacu królewskiego, wyższa od fasad europejskich katedr i złożona z setki jednakowych kiosków, z których każdy ma takie same kolumnady, takie same ogrodzenia, takie same małe, kunsztowne kopuły. Różowe w białe kwiaty są pałace i domy, które wyglądają ze wszystkich stron i ciągną się hen daleko wśród kurzawy ulic.

Tu tłum jest najbardziej strojny w klejnoty, najbardziej ożywiony, najgłośniejszy i tu roztacza cały przepych odświętnych barw. Aliści liczniejsi tu są, niż gdziekolwiek, tułacze głodni — zwłaszcza biedne, małe dzieci, gdyż w pośrodku placu pieką naprędce ciastka z ryżu, z cukrem i miodem i to je przyciąga; rozumie się, że nikt im tych ciastek nie daje, lecz niemniej stoją, chwiejąc się z osłabienia na drobnych nóżkach i rozgorączkowanemi oczami pożądają słodyczy.

Napływ głodnych zwiększa się zresztą z godziny na godzinę. Rzekłbyś, że to fala pogrzebowa, która podnosi się od wsi i idzie ku miastu. Drogi zaś na równi znaczone są trupami tych, którzy nie zdołali dojść do bram grodu.

Przed handlarzem naramienników, który zajada właśnie świeże pierogi, zatrzymuje się żebrząca kobieta, cień kobiety. Do wysuszonych piersi tuli niemowlę, a raczej szkielet niemowlęcia. Nie, ten handlarz nic jej nie da, nie raczy nawet spojrzeć na nią. Natenczas ją, tę matkę o wyschłem łonie, której dziecię za chwilę skona, porywa szał i wydaje z siebie przeciągły krzyk lwicy. Jest młoda, była na pewno ładna; zniszczone rysy noszą jeszcze ślady młodości: ma może szesnaście lat, toć to dziecko jeszcze... Pojmuje wreszcie, że nikt nie ulituje się nad nią, że jest skazana; i powtarza ten swój beznadziejny krzyk, wyje z potrzeby wycia, jak konające zwierzę, gdy tymczasem obok niej przechodzą spokojnym, głuchym krokiem wielkie, opasłe słonie, które spożywają teraz strawę sprowadzoną z daleka i drogo opłaconą.

Ponad wrzawą zaś tłumu rozlega się wrzawa kruków, które roją się tu tysiącami na dachach i w powietrzu. Ten wieczny zespół krakań, który góruje w Indyach nad wszystkimi głosami życia, dochodzi teraz jakby do szczytów ekstazy; czasy głodu, czasy siejące naokół zapach śmierci, są porą obfitości i uciechy dla kruków, sępów i much.

(D. n.).

ducha przez dorastające pokolenie, a dodajmy — trwonienie, które nawet pod względem szczęścia indywidualnego uboży i wycieńcza marnotrawców i za cenę słabego użycia w młodym wieku pozbawia całej gamy wrażeń w latach późniejszych. Nawet barbarzyńcy, tu i owdzie istniejący na globie naszym, wiedzą o tej tak zresztą prostej prawdzie, zarazem fizyologicznej i społecznej. Tam niema okoliczności, któreby młodzieńca przedwcześnie rujnowały, a kiedy dojrzewa, starsze pokolenie wtajemnicza go w obowiązki mężczyzny przy pomocy praktyk, które naszemu poczuciu wysubtelnionemu wydać się mogą plugawemi, ale które w sumie swej wzięte są mniej nieobyczajne, niż stosy podejrzanych poradników, romansideł sensacyjnych i haniebnych uczelni, które kryje dla dorastającej młodzieży życie społeczne w zaułkach swoich. Ale w tym razie, jak w wielu innych, zasadą wielką naszego ustroju społecznego jest marnotrawstwo sił przyrody martwej i żywej. Niszczymy lasy, których nie posadziliśmy, rzucamy na marne jakąś piątą część całego wysiłku społecznego. Dlaczegóż mielibyśmy bardziej szanować entuzyazm, tkwiący w naszym organizmie, ale że zapał ów mógłby niejednokrotnie popsuć wczasy filistrów! Wiem, iż dla powściągnięcia młodzieży posługują się innymi argumentami, z których wiele jest jakby wyjętych z ust jakiejś prababki i opiera się na pewadze dogmatów. Winien jestem zaznaczyć, iż dowodzenia tego rodzaju kompromitują raczej sprawę. Co do mnie, chętnie usunąłbym je najzupełniej za nawias rozumowań naszych. Również nie obcem mi jest, jak to zresztą zauważyłem wyżej, iż niektórzy zwracają się do młodzieży z argumentami zapożyczonymi u epikurejczyków. Nie mam najmniejszej ochoty posługiwać się niemi, choć przekładam je nad wszystkie inne. Wychodzę jedynie z zasady użyteczności społecznej. Uznaję doniosłość istnienia w narodzie zasobu wrzącego zapału, niekłamanego entuzyazmu, oddźwięku na wielkie idee wieku. Otóż zasób ten znajduje się w związku jak najściślejszym z siłami młodego pokolenia, niewyczerpanemi przedwcześnie wskutek nadużyć płciowych. Poruszam zaś tę kwestyę tem chętniej, gdyż parokrotnie zwracano się do mnie o zdanie w tym względzie. Spostrzegłem naówczas, iż wśród młodzieży istnieją pewne nastroje w kierunku powściągliwości, toczą się na ten temat rozprawy, a wywody Körniga i Bjornsona są przedmiotem żywych dyskusyj. Ale jednocześnie zauważyłem, że inicyatorowie obawiają się, iż podnosząc te zagadnienia po za obrębem koła bardzo bliskich przyjaciół, narażą się na śmieszność. Może artykuł niniejszy ośmieli ich — byłoby to dla mnie największą nagrodą.

*K. R. Żywicki.*

## KRONIKA POZNAŃSKA.

Sprawa robotników rolnych z Królestwa Polskiego. — Towarzystwo samopomocy. — Zjazd ministrów w Poznaniu. — Owoce działalności hakatystów. — Spółki zarobkowe i kasy oszczędności. — Bank galicyjsko-poznański.

Sprawa robotników rolnych z Królestwa Polskiego już nie należy do sezonowych. Stała się ona tak żywotną, że przez cały rok okrągły nie schodzi z porządku dziennego. Obecnie prasa niemiecka prowadzi bardzo gorący spór o zatrudnienie robotników polskich. Niektórzy wyrażają obawę, iż rząd rosyjski zabroni wychodzenia robotnikom za granicę pruską. Między innemi *Kolnische Volkszeitung* pisze: „Stowarzyszenia rolnicze z różnych gubernij wysłały już petycye do ministra rolnictwa o wydanie takiego zakazu, gdyż w obrębie państwa rosyjskiego daje się odczuwać brak robotników, poniekąd z powodu napływu w ostatnich czasach ludności wiejskiej do miast. Rząd rosyjski poczynił energiczne zabiegi, ażeby wytworzyć przemysł niezależny od zagranicy. Dziś Łódź, Ryga i inne miasta stały się ogniskami przemysłu. Nowo powstające fabryki oczywiście wymagają znacznej liczby robotników, skutkiem czego wieś się wyludnia.

Skąd gazeta czerpie wiadomości o petycyach i wszelkich środkach, przedsiębranych celem zatrzymania robotników polskich w kraju, tego docieka nie będziemy. Chodzi nam tylko o stwierdzenie tego faktu, że Niemcom bardzo zależy na robotnikach polskich. Dlatego też nietylko boją się wszelkich rozporządzeń w obrębie państwa rosyjskiego, ale nawet wogóle żywo się zajmują rynkami pracy w państwie sąsiedniem. Oto np., co pisze korespondent petersburski *Kreuz Zeitung*: „Brak ludzi w niektórych dzielnicach państwa doszedł do znacznych rozmiarów: Następujące szczegóły ilustrują stosunki w guberniach środkowych: Płaca robotnika wzrosła tam tak dalece, że ledwie można pokryć koszty produkcyi zboża. Tak np. niedawno jeszcze płacono robotnicom w polu 20—25 kop. dziennie; obecnie zaś płaconoby chętnie po 40—50 kop., gdyby się tylko znalazły kobiety, któreby chciały pracować w polu i na łąkach. Takich robotnic jest bardzo mało. Dawniej żądano za skoszenie jednej dziesięciny (mniej więcej 2 morgi) żyta rb. 1,25 do 1,50, dzisiaj za mniej niż 2 rb. nikt się nie zgodzi. Jeżeli żyto się udało, trzeba płacić 2,50—3 rb. Ale nawet za te ceny nie można zdobyć dostatecznej liczby kosiarzy. Również bardzo znacznie wzrosła płaca stałych robotników, wynajętych na lato lub zimę.

Wogóle pismo w bardzo jaskrawych barwach przedstawia brak robotników i wzrost ceny pracy w guberniach środkowych, a rolnicy niemieccy upatrują w tych stosunkach związek ze sprawą wychodźctwa zarobkowego i przewidują zamknięcie granicy. Oto co pisze *Kolnische Volkszeitung*: „Nasi rolnicy i przemysłowcy mogą sobie wyobrazić, jak będą wyglądali, gdy nastąpi zamknięcie granicy, czego można się spodziewać bardzo prędko. Przemysł, płacący wyższe ceny, poradzi sobie łatwiej. Ale przyciągając robotników wiejskich, wyludni on zupełnie wschodnie prowincye Prus. Cóż jednak uczynią wielcy właściciele ziemscy, zamieszkali na wschód od Elby? Już dziś od rolników protestanckich ze wschodnich prowincyj niemieckich otrzymujemy listy, przedstawiające położenie w najsmutniejszych barwach. Uznają oni bezwzględnie naszą propozycyę, ażeby udzielić naturalizacyi 40,000 robotnikom z państwa rosyjskiego. W niektórych kołach „narodowych“ sprzeciwiają się temu; ale pożałują swojej opozycyi, gdy już będzie za późno. Wszakże dla usunięcia braku robotnika ci szanowni panowie nie potrafią wynaleźć żadnych środków; a już czas największy, ażeby się zastanowiono, jak bez pomocy robotników można zażegnać klęskę. Rząd przecież nie może dopuścić do upadku rolnictwa, a nie wypada mu sprowadzać robotników przymusowo. Może się jednak ucieknie do ostatniej deski zbawienia i sprowadzi kulisów chińskich, gdy ostatni robotnik niemiecki umknie ze wsi.“

Kto wie, czy polityka hakatystów nie doradzi tego środka, który zada klęskę masom ludności niemieckiej, wprowadzi bowiem tanie siły niewolnicze i tym sposobem zniży skalę płacy.

Jest jeszcze inny środek podobny. Oto rząd niemiecki, chcąc usunąć brak robotników, zaleca rolnikom zużytkowanie sił więźniów. Przed kilku tygodniami minister spraw wewnętrznych wydał nawet okólnik, którego treść zasadnicza jest następująca: Każdy ziemianin na życzenie może otrzymać więźniów-robotników, najmniej 12 i najwięcej 30. Do prac rolnych mogą być używani więźniowie po odsiedzeniu trzech miesięcy w zwyczajnem więzieniu, pół roku w domu karnym. Wybór założnym będzie od inspektora więzienia, który ma postępować bardzo przezornie, tj. nie pośle nikomu więźniów niebezpiecznych lub skłonnych do ucieczki. Więźniów pracujących w polu opłacać trzeba za cały dzień, choćby nawet skutkiem niepogody musiano przerwać pracę wkrótce po zaczęciu. Więźniowie pracować mają 12 godzin dziennie. Przed brzaskiem dnia nie wolno ich zatrudniać, przed nastaniem zaś zmierzchu należy zwalniać od pracy. Rolnicy otrzymywać mogą więźniów tylko na mocy umowy piśmiennej.

Rozporządzenie ministra oświaty, znoszące naukę języka polskiego i ograniczające wykłady religii po polsku, wywołało w pewnej mierze przeciwdziałanie. Mianowicie w Poznaniu powstało „Towarzystwo samopomocy.“ Zadaniem jego jest szerzenie elementarzy i książek dla dziatwy w domach polskich. Członkiem Towarzystwa może zostać każda osoba, licząca najmniej lat 18, a płacąca rocznej składki najmniej 50 fen. Na czele Towarzystwa stoi powoływany przez walne zebranie zarząd, składający się z 15 członków, z których pięciu podług starszeństwa w urzędzie co rok występuje. Po pierwszym i drugim roku los rozstrzyga, kto z zarządu swój urząd składa. Zarząd wybiera z pośród siebie przewodniczącego, pisarza, skarbnika, bibliotekarza i ich zastępców. W razie ubycia członków, przysługuje zarządowi prawo kooperacyi. Kieruje on sprawami Towarzystwa, przyjmuje i wyklucza członków, zastępuje Towarzystwo na zewnątrz, zdaje sprawę ze swych czynności na walnem zebraniu, zwoływanem raz do roku, stanowi o sprawach, dotyczących całego Towarzystwa. Takie są główne artykuły ustawy nowej instytucyi. Czy się wywiąże ona dobrze ze swego zadania, czy rzeczywiście walczyć będzie skutecznie z germanizacyą, szerzoną za pomocą szkół? Oby się rozwinęła pomyślnie. Bądź co bądź, jest to ciało zbiorowe, organizacya uświadomiona, więc można liczyć, że coś przecież zrobi. Niech tylko stara się werbować najwięcej członków energicznych i pełnych zapału.

Tymczasem wszelkie przeciwdziałania uciskowi, gwałtom i naporowi germanizacyi wywołało już ze strony prześladowców myśl nowej walki. W tym celu ma się zjechać do Poznania pięciu, a nawet podobno siedmiu ministrów pruskich, ażeby zbadać stosunki na miejscu i uchwalić środki odpowiednie przeciw „rozwijającej się systematycznie agitacyi polskiej.“ Jak wiadomo, zjazdy takie odbywają się tylko w sprawach wielkiej wagi. Stąd można przypuszczać, że ministrowie mają na myśli jakieś piekielne środki walki z żywiołem polskim. Według innych pogłosek ministrom wcale nie chodzi o wynalezienie takich środków walki, lecz o sprawdzenie owoców działalności hakatystów, tudzież urzędowo rzucanego przez nich światła na stosunki w Poznańskiem. Podobno rząd już stracił wiarę w hakatystów od chwili, gdy się przekonał, że ich działalność jest obosieczną i w wielu wypadkach wydaje owoce bardzo niebezpieczne. Z tego to właśnie powodu postanowił zbadać stosunki osobiście na miejscu i stosownie do stanu rzeczy ustawić chorągiewkę swej polityki.

Czy tak jest istotnie — trudno zbadać i robić jakiekolwiek przypuszczenia z góry. To tylko pewna, że rząd już nieraz dał się wyprowadzić w pole hakatystom, że ci znowu, działając w imię patryotyzmu,

napychali własne kieszenie pieniędzmi skarbowymi. Wiadomo powszechnie, że w szeregach wielkiego stowarzyszenia germanizatorskiego służą opryszki i rzezimieszki, których jest mnóstwo nietylko śród szeregowców, lecz i śród działaczów z wyższymi stopniami. Niewątpliwie w tych szeregach jest także olbrzymi procent zaciekłych fanatyków, pracujących tylko w imię idei, która tak dalece ich oślepiła, że nawet niejednokrotnie pracują na niekorzyść ekonomicznych i społecznych interesów państwa.

Już niejednokrotnie zaznaczaliśmy ten znamienny prąd opinii śród trzeźwiejszych i rozumniejszych publicystów niemieckich, którzy stanowczo i otwarcie potępili działalność hakatystów. Nasze pisma poznańskie i niepoznańskie w cielęcym zachwycie nazwały takie wystąpienie uczciwem i przychylnem dla Polaków. W rzeczywistości jest wszakże zupełnie inaczej. Owi „przychylni" i „uczciwi," dzięki swej przenikliwości i trzeźwości, stwierdzili, że działalność hakatystów, polegająca na ucisku, gwałtach i wszelkiego rodzaju prześladowaniach, wzbudza tylko poczucie odrębności śród Polaków, wyrabia w nich energię i zapał do walki, że od dzieciństwa uczy ich pamiętać, iż są Polakami.

Istotnie tylko temu uciskowi i nieustannemu prześladowaniu zawdzięczyć należy powstanie licznych instytucyj, wzmacniających żywioł polski pod względem społecznym i ekonomicznym. Między innemi rozwijają się pomyślnie spółki zarobkowe i kasy oszczędności, które już od 14 lat są połączone z sobą mocnym węzłem w jeden związek. Ostatnie sprawozdanie wykazuje, iż liczba spółek wzrosła w r. 1899 ze 114 do 119, liczba członków z 41,950 do 46,430, suma udziałów z 5,781,453 do 6.576,000 marek, suma oszczędności z 26,747,000 do 32,462,090 marek. Taki pomyślny stan rzeczy zasługuje tem bardziej na zaznaczenie, że rok sprawozdawczy należał do bardzo niepomyślnych pod względem ekonomicznym. Na korzyść administracyi związku przemawiają następujące fakty: Podczas gdy stopa procentowa w państwie podniosła się do 6—7%, bank spółek dostarczał spółkom przez cały rok kredytu po 4½—5%. Fundusz rezerwowy powiększył się z 2,263,000 do 2,614,000 marek. Straty związku wynosiły 26,500 marek, tj. mniej niż 1% funduszu rezerwowego. Związek ogółem obejmuje 119 spółek. Z tej liczby znajduje się w W. Ks. Poznańskiem 88, w Prusiech Zachodnich 31. W miastach 93, po wsiach 26. Niektóre spółki wiejskie rozwijają się tak pomyślnie, że nawet doszły do milionowych obrotów (jedna z nich w Przemencie). Tylko spółki górnoszląskie stoją po za organizacyą związku. Jest ich dotychczas niewiele, ale rozwijają się również pomyślnie. Wogóle spółki przyciągają niższe i średnie warstwy społeczeństwa tudzież mają na względzie ich dobro ekonomiczne. Natomiast warstwy zamożne stoją prawie zupełnie na uboczu. To też słusznie cała ta organizacya wyrobiła sobie sławę instytucyi demokratycznej.

Hakatyści patrzą okiem zawistnem na pomyślną działalność zrzeszoną żywiołu polskiego. Pod wpływem obaw i zarazem dla ściągnięcia nowych ochotników do swej armii, ogłosili oni w pismach komunikat, w którym kładą nacisk na bezowocność swych zabiegów germanizacyjnych i jednocześnie na pomyślną pracę Polaków w dziedzinie kulturalnej i ekonomicznej. Trzeba tedy, ażeby ludność niemiecka przy pomocy rządu wyrobiła tę energię, co polska i wzięła się do walki z nią tymi samymi środkami. W tej zachęcie komunikatu jest dużo płytkości i naiwności. Twórcy odezwy zapominają o czynniku psychologicznym w masach, podobnym do prawa fizycznego: im bardziej jest para ściskana w zamknięciu, tem więcej wzrasta jej prężność. Niemcy ze swojej polityki ukuli kocioł o potężnych ścianach, w którym zamknęli żywioł polski i rozgrzewają go za pomocą wszelkich środków prześladowczych. Temperatura rośnie i zwiększa prężność tego żywiołu. Jakież są środki na zwiększenie prężności żywiołu niemieckiego, skoro się on rozpościera swobodnie bez ścian i granic?

Niemców zdjęła nowa trwoga z powodu bomby, puszczonej przez *Posener Tageblatt*. Pismo to pochwyciło pogłoski, błąkające się w różnych gazetach i wysnuło z nich projekt „Banku galicyjsko-poznańskiego." Ma to być instytucya, ogarniająca Galicyę, Poznańskie i Prusy Zachodnie. Założycielami głównymi obok ks. Adama Sapiehy, ks. Sanguszki i innych są: Wydział krajowy, Bank galicyjski dla handlu i przemysłu, wreszcie Bank krajowy. Ten ostatni, według zapewnienia *Posener Tageblatt'u*, pomimo swego półurzędowego charakteru, daje milion marek na założenie owej instytucyi, na której czele ma stanąć znany członek Izby panów, dr. Marchwicki. Ma ona być prowadzona według tych samych zasad, co polski Bank parcelacyjny w Poznaniu. „Komisya, w której skład wchodzą między innymi dyrektor krakowskiej filii Banku austryacko-węgierskiego, Wild, politycy galicyjscy, geometrzy itd., ma w najbliższym czasie wybrać się do Poznańskiego, ażeby zbadać stosunki na miejscu. Całe to przedsiębiorstwo przez współudział w niem galicyjskich urzędników krajowych nabiera cechy półurzędowej."

*Słowo* lwowskie, cytując tę pogłoskę z organu niemieckiego, dziwi się ironicznie, że dotychczas o projekcie powyższym najmniej wiedzą miejscowe pisma lwowskie. Pogłoskę powtórzyły pisma hakatystyczne i uderzyły na trwogę.

*et.*

FEJLETON.

# PAMIĘTNIK.

### Dąsy.

O ile tylko można — nie robić i o ile można przeszkadzać, ażeby inni nie robili. To jest śliczne i płodne w skutki przykazanie naszego katechizmu obywatelskiego. Wiadomo, że w słowniku dobrych chęci mamy charakterystyczne, przez reporterów od kur zapożyczone wyrażenie: „nosić się z myślą." Przejrzyjcie jakikolwiek wykaz wzmianek dziennikarskich: p. A. nosi się z myślą napisania komedyi (której nigdy nie napisze), p. B. nosi się z myślą opracowania historyi pańszczyzny (której nigdy nie wykona), p. C. nosi się z myślą wzniesienia domu dla malarzów (którego nigdy nie zbuduje) itd. Otóż zakopańska Rada gminna od r. 1897 nosiła się z myślą wystawienia pomnika Chałubińskiemu. Że ta góralska kokosz nie zamierzała nigdy znieść swego jajka, dowodem to, iż postanowiła na ten cel odkładać 50 guldenów rocznie, a o inne zasiłki nie starała się wcale. Zniecierpliwiło to ludzi umiejących czcić wielkiego nieboszczyka i pamiętających o jego zasługach dla Zakopanego, którzy zawiązali komitet i postanowili energicznie zająć się sprawą pomnika, wezwawszy do udziału w swych zabiegach i pracach Radę gminną. Ale od czego chwalebna zasada: nic nie robić i nie pozwalać, ażeby inni robili? Rada — na wniosek dr. Chramca, który bez Chałubińskiego poprostu nie istniałby ze swym zakładem — zaprotestowała przeciwko temu wdzieraniu się w jej „inicyatywę" i odmówiła swego uczestnictwa w przedsięwzięciu. Dąs śmieszny i nizki. Nie zachęcamy do prowadzenia kłótni na mogile człowieka, którą, zwłaszcza w Zakopanem, otaczać powinna tylko poważna i pełna głębokiego żalu cześć. Zalecamy natomiast przejść nad uchwałą Rady gminnej do porządku dziennego, tem bardziej, że zebrane przez nią w ciągu trzech lat 150 guldenów nie będzie stanowić dotkliwego ubytku. Bardzo jest piękna z jej strony wiara, że pamięć o Chałubińskim trwać będzie setki lat, potrzebnych jej na zebranie potrzebnego funduszu po 50 guld. rocznie, ale piękniejszą od tej wiary jest żywa wdzięczność żyjących pokoleń, które chcą obecnie pomnikiem dogodzić potrzebie swego serca i spłacić dług wdzięczności jednemu z najszlachetniejszych i najpromienniejszych duchów, jakie przyświecały życiu naszemu.

### Złudzenia.

Szanujemy złudzenie p. W. Gersona, przekonanego, że ma w sobie jakieś niewypowiedziane, nowe słowo, które wygłosi w świeżo przezeń założonym organie *Świat artystyczny*, ale wyznać musimy, że jest to tylko złudzenie. Sędziwy artysta nie należał do milczących, owszem zabierał głos często; nie pozostała przeto ukrytą w głębinach jego duszy żadna perła myśli, którą potrzebaby teraz wydobywać na wierzch. A pomiędzy temi, które nam ukazywał, nie dostrzegliśmy ani jednej oryginalnej. Jeżeli przeto p. G. mniema, że w naszym świecie artystycznym jest jakaś pustka, którą dopiero on zapełni, jakaś struna, z której dopiero on dźwięk wydobędzie, to się myli. Starzy tylko do pewnego czasu mogą być mistrzami młodych, potem muszą stać się ich uczniami, jeżeli nie chcą być opuszczonymi żórawiami, od których odleciało stado. We wstępnem słowie do nowego dwutygodnika p. G. usłał sztuczne gniazdo ze starych, kruchych patyków frazeologii, a co gorsza — wykazał, że swojego czasu nie rozumie. „Rękodzielnie — powiada on — fabryki, rzemieślnicze pracownie poczynają już dziś zapełniać się takiemi osobistościami, które przed niedawnym czasem miałyby sobie za ujmę godności swojej człowieczej uścisnąć dłoń w pracy zgrubiałą. A jednocześnie ci, którym się wydaje, że ten ruch dzisiejszy jest jak najzupełniej nowym wytworem chwili obecnej, dotąd nieznanym, wypisawszy na sztandarze swym wyraz *pozytywizm*, związali go ze starej daty materyalizmem i realizmem, pragnąc, o ile to być może, duchowe i uczuciowe czynniki i pobudki od wpływu na bieg spraw i czynności ludzkich odsądzić." Cały ten ustęp wygląda tak, jak gdyby go autor przygotował przed 25 laty do jakiejś polemiki i teraz dopiero ogłosił. Ten pozytywizm, materyalizm, realizm, duchowe i uczuciowe czynniki odsądzone od wpływu na bieg spraw ludzkich — wszystko to strzały z kołczanu konserwatywnego, wyrzucane podczas przebrzmiałej walki prasy starej z młodą. Dawne wspomnienia tak się pomieszały p. G. z obecnymi widokami, że mówi on o osobistościach, zapełniających fabryki i warsztaty a gardzących niemi jeszcze „przed niedawnym czasem," i jednocześnie urąga tym, którzy ten ruch uważają za nowy. Strasznie malarzowi obraz się zamazał.

### Kwestya mieszkaniowa na wsi.

Nędza mieszkaniowa ludności wiejskiej znalazła wymownego reformatora w osobie adwokata warszawskiego, K. Rakowieckiego. W szeregu artykułów drukowanych w *Zdrowiu*, a następnie wydanych w oddzielnej broszurze rzecznik tej wielkiej a smutnej sprawy domaga się koniecznej reformy opłakanych stosunków. Nie na gołosłownych jeremiadach tu koniec: autor zbadał warunki hygieniczne zamiesz-

kania ludności wiejskiej w pewnej wiosce gub. Siedleckiej — i na takiej podstawie indukcyjnej zbudował szereg wniosków „praktycznych." A więc: „obowiązkowe usunięcie szachownic; wydanie rozporządzeń, określających najmniejszą dopuszczalną przestrzeń między budynkami; popieranie na drodze prawodawczej i administracyjnej budowania się włościan według systemu kolonij, tj. zagród włościańskich, rozrzuconych na dalekiej przestrzeni jedna od drugiej. Cóż dalej? Wyobraźmy sobie, że takie rozporządzenia zostały wydane, że, co więcej, zostaną w czyn wprowadzone. Władze nie pozwalają wieśniakowi budować się, gdzie chce, nie dość tego, żądają planów budowli, badają je, czy odpowiadają warunkom hygienicznym. Widzimy jeden rezultat, nie obcy zresztą przenikliwości autora: wieśniak przestanie budować własną siedzibę, pójdzie „na mieszkanie" do sąsiada. Przeludnienie zwiększy się, anarchia hygieniczna wzrasta. Wszystko bowiem tu sprowadza się do pieniędzy „Hygiena" pozornie, tj. przy układaniu budżetu przedsięwzięcia, jest nader kosztowną i tylko obecność gotówki, konieczność życiowa, długoletnie przyzwyczajenie, oświata, a co za tem idzie, wzrost potrzeb kulturalnych—mogą tę przeszkodę przezwyciężyć. Stoimy wobec zagadki, którą rozstrzygnąć są zdolne zaledwie stulecia całe zmudnej, krwawej pracy.

Ale autor chciałby tę chwilę przyspieszyć. Odwołuje się do inteligencyi wiejskiej. To ona powinna wskazówkami, radą (czy biernie?) służyć. Doskonale! Ale „inteligencya" sama buduje chałupy dla włościan, a mianowicie dla służby dworskiej. Najlepszy początek od siebie: przykład, który dajemy sami, lepszy jest stokrotnie od kazań przygodnych nawet w boskiem krasomówstwie Skargi poczętych! I o tem autor nie zapomniał, aczkolwiek zdaje nam się, że tragizmu sprawy nie uwydatnił. Uczyniliśmy to w jego zastępstwie: czytelnik przypomni sobie pieśń Jeremiaszową *Rural exodus*'em przezwaną, którą *Prawda* od wielu już miesięcy szpalty swojo zapełnia! Od takiej ankiety zacznijmy; od inwentarza grzechów w zakresie budownictwa „czworaków" czynionych a nie odkupionych, powtarzanych bez liku i pamięci w zatwardziałości serc niepomnych ni Boga, ni historyi, ni obowiązku, ni interesu.

Że zaś człowiek lubi się pocieszać, tedy pocieszmy się i my. Gdzieindziej nie lepiej! Niedawno dziennik londyński *Daily News* zarządził ankietę mieszkaniową w Anglii, a jej organizator, Clement Edwards, w odczycie publicznym, wygłoszonym 1 marca w Londynie, nakreślił taki obraz nędzy mieszkaniowej wiejskiej, że nas wcale zazdrość nie bierze. „W wielkiej ilości chałup podłoga wewnętrzna (z gliny) leży o kilka cali niżej od progu. Izby mieszkalne są często tak niskie, że wysokość nie wynosi nawet 5 stóp 9 cali, a wielka ilość tych izb sypialnych nosi charakter strychu. Sufit stanowi w nich dach domu... Podczas krótkiej podróży inspekcyjnej po Wiltshire (Anglia połudn.) znalazłem w 55 wypadkach 5 osób sypiących w jednej izbie, w 10 wypadkach było ich więcej, niż sześć; w ośmiu więcej, niż 7; w sześciu więcej, niż 8; w trzech więcej, niż 9; w dwóch więcej, niż 10, a w jednym wypadku aż jedenaście osób (ojciec, matka i 9 dzieci) spało w jednym pokoju."

Działalność zapoczątkowaną przez autora broszury uważamy za nader pożyteczną i poważną. Niechaj nie skończy się na początkach! A praca powinna przedewszystkiem wyjść za koło Towarzystwa hygienicznego, tylko w łącznych usiłowaniach tej instytucyi, jako fachowej, oraz Sekcyi rolnej, Towarzystwa kredytowego ziemskiego i wszystkich innych organizacyj ziemiańskich może kwestya ta znaleźć jakie takie rozwiązanie.

### *Anonim, albo: na dnie goryczy — karyera.*

„Lector" *Kuryera Warszawskiego* przytoczył długie cytaty z fejletonu *Gazety Polskiej* *), którego autor porównywa młodzież Szkoły Głównej z dzisiejszą — uniwersytecką na niekorzyść ostatniej. „Lector" przewiduje polemikę z powodu fejletonu, lecz radzi przeczytać go bezstronnie, obiecując, że na dnie goryczy znaleźć tam można myśl zdrową.

Mojem zdaniem na dnie tej goryczy pełza — najpospolitsza karyera.

Postać autora jest dla mnie aż nadto przejrzystą. Niewątpliwie był on w uniwersytecie warszawskim. Nie należał ani do karciarzy, ani do rozmiłowanych w polemice i dyspucie ideowej. Należał do tych nielicznych toastowiczów nauki, którzy wnoszą jej zdrowie nawet na pogrzebach bogatych ciotek, a których Tołstoj stawia niżej od chłopa orzącego.

Wskażę parę dowodów zupełnego braku logiki w fejletonie, poczem, zamiast polemiki, przedstawię ukrytą postać autora w formie dyalogicznej na tle stosunków współczesnych.

Oto parę nonsensów:

1) „Nie pora w latach studenckich patrzeć na świat otaczający, jako na arenę działalności i wyszukiwać tam dla siebie obowiązków do spełnienia, lecz czas najwłaściwszy, aby zwrócić oczy w głąb swego ja i wziąć się do pracy zmudnej i ciężkiej, do wyplenienia takich chwastów, jak egoizm, brak cierpliwości, karności itd."

Pytanie: co zmusza człowieka do refleksyi i umoralniania własnego ja, jeżeli nie pilna „obserwacya świata" otaczającego, jako areny działalności, i co lepiej doskonali nasz charakter od wyszukiwania obowiązków społecznych, od ich jaknajwcześniejszego spełniania?

2) „Ja pragnę, ażeby młodzież uniwersytecka zrozumiała, że z racyi swej młodości, niewyrobienia i niedoświadczenia nie powinna zajmować wobec spraw ekonomicznych, społecznych itp. innego stanowiska, niż czujnego obserwatora i sumiennego badacza, a po drugie, że jej obowiązkiem pierwszorzędnej wagi jest wyrobienie w sobie samodzielnych przekonań w tych sprawach."

Pytanie: czy może być mowa o „samodzielnych przekonaniach i o sumiennem badaniu świata otaczającego," jeżeli się go zaledwie obserwuje?

Takie perły logiki może obojętnie sylabizować istota ludzka nauczona abecadła. Jej wszystko jedno, czy matka syna powiła, czy ojciec powił córkę. Dlaczego nie napisać otwarcie i logicznie: „Pragnę nauczyć się preparować mydła pachnące, pragnę zostać dyrektorem fabryki takich mydeł, potem jej właścicielem, gdyż mam zdolności po temu; według mego zdania, wszyscy powinni chcieć tego samego (w innej, naturalnie, gałęzi przemysłu)."

A teraz kolej na sylwetkę autora anonimu.

...W auli uniwersyteckiej wrze. Młodzież dowiedziała się i zarazem przekonała dowodnie, że ma pośród siebie złodzieja. Całą gromadą udają się przez podwórze do kancelaryi władzy uniwersyteckiej, aby ją poinformować o istnieniu hańbiącej ogół jednostki i prosić o jej wydalenie z zakładu naukowego.

W tym pochodzie mijali właśnie okna laboratoryum, gdzie kilku adeptów przyrody pracowało wspólnie z siwym profesorem.

— Znowu jakaś szopka — zauważył jeden ze studentów.

— Co takiego? — spytał profesor.

— A, idą prosić o wydalenie tego N. — zawołał drugi—poczem czterech młodzieńców porwało za czapki i przeprosiwszy profesora, wybiegło do kolegów.

Pozostał jeden, który rzekł:

— Nie poszło by się to uczyć?

— Podobno N. jest złodziejem—zauważył starzec.

— Tak, panie profesorze, ale student jest studentem, powinien się uczyć, nie sądzić.

— Masz pan racyę — rzekł staruszek, ale w tym wieku nie powinieneś pan tak czuć i mówić.

Tak rozmawiał ze swym profesorem autor anonimu, który „nieraz z dumą i rozrzewnieniem o Szkole Głównej wspomina." Takim należy dawać dobre posady, lecz nie powinno się dopuszczać ich do publicznego głosu, gdyż próbują grać na bochenku chleba, jak na gitarze.

*Tadeusz Ulanowski.*

*) Patrz „Pamiętnik" w nr. 40.

---

## LITERATURA I SZTUKA.

### POEZYA I RYMY.

Edward Słoński: ***, MCM, Warszawa.—Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Poezye IV.* Warszawa, 1900.

I.

Nie po raz pierwszy spotykamy się z sympatyczną muzą p. Edw. Słońskiego. Włożyła ona wprawdzie strój odmienny a oryginalny, poczynając od trzech gwiazdek zamiast tytułu aż do żałobnej przepaski na okładce. I czcionki, jakby z drukarni „Życia" krakowskiego pożyczone, i cały wygląd zbiorku, jak zwykle u poety miniaturowego, świadczy wyraźnie, iż p. Słoński zaciąga się pod sztandar „Młodej Polski," i wyznaje hasła modernistyczne. Za wodza zastępu młodych autor uznaje niewątpliwie Kasprowicza, a za chorążego Tetmajera, lub odwrotnie; przynajmniej, położony na wstępie „Ból" rozbrzmiewa nutami, wygranemi przez pierwszego z nich, a końcowy wiersz, „Życie," jest poniekąd odbiciem obrazu Tetmajerowskiego. Niemniej w nowem przebraniu rozpoznamy z łatwością znane nam rysy. Muza p. Słońskiego, to poezya nocy srebrnej, zadumanej, to poezya zmierzchu lub łagodnej zorzy wieczornej, stopniowo zapadającej w mrok, to krajobraz jesienny, nakryty mgłą tęsknoty i ciszy. W ostatnim zbiorku ciszę tę mąci nieraz ostry krzyk bólu. „W noc oną błękitną usiadł przede mną i patrzył w dal, kędy mistyczne szarych zmierzchów kwitną kwiaty, gdzie wzrok się gubi, i gdzie się zaczyna fantazya jakaś niebiesko-sina — usiadł przede mną i patrzył w dal bezmierny, wielki żal..." O treści wierszów wymownie świadczą ich tytuły: Ból, Melancholia, Cisza, Żal, Śmierć... Chociaż nie noszą pretensyonalnej nazwy „nastrojów," słusznie się im ona należy. Nastroje te może są nazbyt osobiste, jakby bezprzedmiotowe i bezprzyczynowe; nie zwykły tłomaczyć się przed czytelnikiem, kędy jest to źródło, z którego wypłynęły; nie poddają nam pewnego stanu duchowego, lecz raczej przychodzą do nas, pukając w okienko: czy gotowi jesteście na nasze przyjęcie? Bo one przynoszą nam gotową formę na nasz żal i tęsknotę, mniejsza jak i czem obudzone. „I słyszę, jak ku mnie kroczy majestatycznie, jak król, nieprzejednany i nieubłagany, potężny władca, ból..." Dlaczego zjawił się i skąd? Nie pytajmy. Ale wiersze te przenika taka serdeczna jakaś nuta, tak czuć, że są one najczystszym wylewem duszy sympatycznej i roztęsknionej, pochód „Bólu" jest tak majestatyczny, i tak pięk-

ne obrazy rozwija przed nami wyobraźnia poety, iż rozstajemy się z nim ze słowem szczerej podzięki za kilka chwil cichej melancholii, której odblaski pozostają nam w sercu:

Nie jest rzeczą zbyt zajmującą powtarzać to, co było już nieraz powiedziano, nie łatwe więc mam przed sobą zadanie, pragnąc mówić o najnowszym zbiorku Tetmajera. O twórczości tego poety pisano już dużo, i osobowość jego poetycka przedstawia się szerszemu ogółowi dość wyraziście. Z łatwością też w IV-ej seryi jego poezyj rozpoznamy rysy, poprzednio już uwydatnione i dosłuchamy się tonów, z którymi spoufaleni jesteśmy oddawna. Po staremu spotkamy tu nieprzebrane wprost bogactwo drogich kamieni i niewidziany przepych barw i blasków, godnych najwspanialszej świątyni i wzbudzających żal, że świątyni może nie doczekamy się od poety nigdy. Po staremu w jego stylu przeważają pierwiastki malarskie, po staremu, pisząc, tworzy jednocześnie swój własny język ze swobodą bezprzykładną od czasów Krasińskiego i Słowackiego. I chociaż nieraz nadużywa tego swego przywileju, niejednym nabytkiem wzbogaci prawdopodobnie wspólną naszą mowę. Ale to wszystko już nas nie olśniewa, albowiem cała ta rozrzutność, zawsze śmiała i zawsze pewna siebie, stała się w naszem pojęciu czemś obowiązkowem dla poety. Przeciwnie, zdawać się niekiedy może, że siła głosu pieśniarza osłabła, bo od tłumionego wzruszenia słowa się mu rwą i powtarza je w kółko. „To widmo — to jest — moja dusza?! Moja dusza?! To widmo?! Ten cień?! To konanie?! To dusza moja?! Naokół otchłanie i mgły. Tak jest: to ona. Mówi: to ja...“ Nie długo atoli poddawać się będziemy takiemu złudzeniu. Aczkolwiek poeta nie prześcignął już tych arcydzieł „nastroju,“ jakiemi są „Melodya mgieł nocnych,“ lub „Na Anioł pański biją dzwony“ — to czyż podobna utrzymywać, że niedorównywa sobie dziś, kiedy coraz spotykamy ustępy podobne tym: „Na błękit wody schodzi *cisza* z śniegów, złocista cisza, podobna bogini, a fala, *dzwoniąc u zakwitłych brzegów, grające stopom jej sandały czyni.*“ Albo spójrzcie tam, gdzie na szczycie „milczenie zaległo olbrzymie.. na wiecznej się oparło niemej, białej zimie i duma... Śni o wielkim wszechmocnym olbrzymie, co dzierży świata ster. On, starzec niestrudzony, olbrzym wiecznotrwały, on, Bóg istnienia, świat co rozkołysał cały, epokom zrobił rum; on, który stworzył życie i śmierć, *czas osadził u złotych słońca szprych*, on który byty stworzył, a drugie wygładził...“ To jest przepiękne, ale wszystko to już było. I było także to upodobanie ogromu i niezmierzonych przestworów, oglądanych z tej zawrotnej wyżyny, gdzie „orlosęp, ptak olbrzymi, goniec podsłoneczny, siedzi, *bezmiar przestrzeni wiążąc w swej źrenicy,*“ skąd ledwie zniżywszy loty dojrzeć można w głębi „orłów kołujących pary.“ I były już te wizye odległych krajów, myślą nieobjętych pustyń, zapadłych, nieruchomych, złowróżbnie połyskujących jezior, zaczarowanych lasów—posępnych, ogromnych, siłą plastyki i mocą wcielenia się w nie poety nabierających symbolicznego znaczenia. Bujnemu temperamentowi poety ciasno w szrankach współczesnego życia i wydaje mu się nieraz, iż nawet przyroda w działalności swej zwolniła swój ruch. I oto znowu wizya „ziemi pierwotnej,“ która „pędzi przez niezmierzone wszechbytu przestrzenie, zdumiewa wielką siłą, twórczą mocą tęgą, zachwycona swem życiem, młodością, potęgą...“ Niesyty wrażeń, oddaje się biernie fali żywiołów, dając im niejako przesiąkać siebie. „Na łodzi czołem ku niebiosom leżę; ciche, zielone, słoneczne wybrzeża; z jeziora toni błękitnej i szklanej nad moją głową biało wstają piany... Wokoło chmury, śniegi lśniące, złote, chmury, w słonecznej wtopione pozłotę, zda się, muskane białem skrzydłem mewiem — *wszystko jest wizyą, czyli światem — nie wiem.*“

Zasadniczych zmian w tem usposobieniu poety oczekiwać niepodobna: na tem niezmiennym atoli tle nastrój pieśniarza podlega wahaniom, a pragnieniem naszem jest pochwycić kierunek ich w ostatnim zbiorze. Czwarty tom jest zresztą jakby tylko dalszym ciągiem trzeciego, lecz nastrój etyczny w nim jest wyższy, i wogóle, dawne tony są tu czystsze, szlachetniejsze i pogłębione.

Przed dziesięciu niemal laty Tetmajer przedstawił się nam, jako nieuleczalny pesymista. Narzekał na świat, na zimne serca swego pokolenia, na rozkładowe wpływy współczesnego krytycyzmu, na zatrucie energii przez samoanalizę. Smutki powszechne sprawiały mu krwawienie się i pękanie serca. Żale były szczere, zapewne, lecz, bądź co bądź, wmówione w siebie; z pod maski bólu wyglądała poza. A obok tych posępnych skarg, spotykamy gęsto ustępy całkiem odmiennego kroju, zdradzające rozbukany, namiętny temperament, a rzucają dziwne światło na rozpacze poety. Dziś dawna ogólnikowość i szablonowość znikły bez śladu. I obecnie pieśń Tetmajera przesiąknięta jest bólem i smutkiem, lecz smutkiem jego własnym, osobistym wprawdzie, lecz szczerym i potrącającym co chwila o struny, które drgają w duszy słuchaczów jego. Jest to np. ból rozłąki, jest to ściśnięcie serca na myśl o niepowrotności krótkich błysków wielkiego, czystego szczęścia. „Umrzyj marzenie! Ta głęboka woda, te góry ciche, drzew nad nami sploty — wszystko zostanie, i znów wiosna młoda na ten kąt ziemi rzuci czar swój złoty i wszystko będzie jak dziś — tylko nas nie będzie więcej tam... Przeminął czas. To tylko jedno, to tylko nie wróci. a zresztą wszystko będzie tak, jak było...“ — I jest jeszcze w tym zbiorku wielkie a prawdziwe znużenie jałowością i powszedniością życia, jest namiętny okrzyk istoty, wyrywającej się z ciasnej, powszedniej kolei do wielkich czynów. „Lepiej już ście, jak meteor minąć, gdzieś na przepastny morski zabiec szlak i zginąć, niż być bezsilnym tak.“ Spójrzcie na te ogromne, płowe lwy, godzinami leżące w zwierzyńcu bez ruchu i marzące o piaskach „płomiennych od spieki,“ spójrzcie na ten obraz malarza, który zamknął w kamiennej grocie „w skurczu i przygięciu ludziom podobną, skrzydlatą istotę.“ „W skalną szczelinę zamknięta, rękami i nogami, piersiami i głową parła, ociekła potem czeluść granitową.“ Na twarzy jej widać „ból i żądzę lotu wielką i namiętną, a i świadomość, że skał tych nigdy nie rozważy.“

Smutkowi swemu, jak wspomnieliśmy, Tetmajer dawał filozoficzno - społeczną podstawę. Lecz teraz i w tej dziedzinie stał się osobistszym wprawdzie, lecz zarazem szczerszym i bliższym nam. Już go nie trwoży mefistofelesowy błysk zwątpienia, owoc naszej doby, którym tak nas przerazili Sienkiewicz na współkę z Bourgetem. Wszechanaliza już bóstw nie obala i nie gasi na ołtarzach rozpalonych ogni. Lecz za to szyderczo na nas spogląda i mrozi nasze porywy Ironia, wróg nieubłagany, stojący na straży czynów, myśli i uczuć człowieka, nasz sobowtór, którego u obcych szukać nie mamy potrzeby; to niewiara w siebie, w czystość swych pragnień, w moc wytrwania, lecz nie w to, co wyższe i jaśniejsze nad burze żądz, a co ideału nosi miano...

„Coś mnie na słońce, na zieleń łąk woła,“ śpiewał Tetmajer. Zieleń łąk — to jego ojczyzna, światło — to jego żywioł przyrodzony, i stąd taka obfitość u niego słonecznych obrazów, unurzanych w jasności i błękicie. Ulegając modnym podmuchom z Zachodu, które nakazywały tęsknić do Nirwany i nasz poeta pożądał jej wielce. Nirwana przecież owa nie była zgoła „bezbytem“ lecz właśnie pełnią życiową, rozkoszowaniem się przyrodą w jej objawach pogodnych a świetnych, głaszczących i kojących zmysły, lub groźnych i potężnych, uderzających swą wielkością. Nirwana ta — to przecudne marzenie o jakiejś bajecznej krainie, gdzie niema złud i walki, tylko słodycz istnienia — to jakiś stan błogi i bezbolesny, stan biernej kontemplacyi, w którym człowiek tłumi w sobie wszelkie czynne odruchy woli, aż do utraty świadomości odrębnego bytu; czuje się wcielonym w strugę wodną i jej dźwięk, w błysk promienia, w szum drzew, w sok, krążący w tkankach rośliny; lecz zapomniawszy o swojem „ja,“ nie traci czucia, nie traci żadnego zmysłu, którym się wchłania rozkosz, niezaprawioną goryczą próżnych wysileń, ku takiemu krajowi bajecznemu rzucał swe spojrzenia poeta. Tak było niegdyś, tak też i obecnie zostało. „Niech się dusza moja uczuje atomem, cząstką tych szumów, które w drzewach szumią, cząstką tych fal, która w rzece płynie, cząstką tych głosów, co się w grotach tłumią, cząstką gry słońca w górskiej dolinie... Naturo! matko! Tak pragnę dla ducha tej świętej chwili, gdy czysty i szczytny... *wydarty burzom, w które krew go ciska*... na cisz zawrotnych wwiedziony krawędzie, tylko twą piękność *czuć i widzieć* będzie, tylko pięknością twoją żyć się zgodzi, podobny dumnej i spokojnej łodzi, co *przewalczywszy wiry i orkany*, żaglem na toni błyszczy zwierciadlanej.“ To samo co dawniej, a jednak coś odmiennego, bo daleko od poety tamten urzędowy niejako pesymizm. W tych świetlanych barwach, któremi poeta maluje swe wymarzone królestwo pogody i spokoju, czuć gorącą tęsknotę wyrwania się z nizin małości, z kręgu cierpienia, z otchłani, w które ciskają burze własnej krwi—tęsknotę zrzucenia ciężaru niemocy, która tak często przytłacza barki współczesnego pokolenia. A im barwy jaśniejsze, im cudniejsze światło rozlewa się po uroczej krainie, która wydaje się nam prawowitą ojczyzną naszą, tem silniejsza nostalgia po rozwianiu się czaru, tem bardziej spotęgowana potrzeba orzeźwienia się jeszcze i jeszcze w zdroju życia czarodziejskiego. Utwory wyobraźni, wskazania nauki, odgłosy wielkich zdarzeń i bohaterskich wysiłków, wydobywające się z kart historyi, wszystko to dziś tak łatwo otwiera przed nami dalekie widoki, budzi śpiące pragnienie, do życia powołuje tyle nieznanych sił i porywów w nieskończoność i ku wysokościom — aż pobrzękiwanie kajdan rzeczywistości rozprasza ekstazę. To, co bliskie, wkłada nam na ręce pęta i otacza murem; to, co dalekie, ukazuje się jako widmo potworne, natrząsające się z idealnych snów. Stąd tak częste w poezyi naszej odwracanie się od życia; stąd te nieustanne wzloty w krainy czystej myśli i czystego piękna. „Tysiące już ludzi zło życia wskazało, tysiące już ból ludzki wykrwawiło w słowach, nigdy jednak nikt dobra i szczęścia nie stworzył... Dwie tylko są ucieczki: szał i wyobraźnia. Kiedy kobietę, ciało, nazywam aniołem, gdy dla idei życie poświęcam bez żalu, *kiedy mię twórcza władza w zaświaty uniesie*, w nigdzie nieistniejące idealne światy, gdy stracę pamięć: *wtedy mogę być szczęśliwy.*“

Wskazując przyczyny zła i bólu, Tetm. wznosi się do wyżyn filozoficznych. „Złem jest i cierpieniem życie.“ „Myśl i uczucie, to, co zwie się duszą, jak deszcz i słońce rodzić muszą zboże, tak one boleść życia rodzić muszą. Żaden duch-człowiek szczęścia znać nie może...“

(D. n.)

*A. Drogoszewski.*

## Z NIEMIEC.

*Barlin, 13 października.*

Rząd pruski przypomina owe ochotnicze prowincyonalne straże ogniowe, które przybywają na miejsce pożaru wtedy, kiedy z palącego się budynku pozostały zgliszcza. Od lat kilku woła opinia publiczna w niebogłosy, prosząc o pomoc dla bankrutującej sztuki dramatycznej, od lat kilku przędą powołani i niepowołani opiekunowie Melpomeny nić projektów ratunkowych, a minister oświaty duma tylko nad tem, jak zgładzić z powierzchni ziemi pruskiej ludzi używających mowy polskiej i duńskiej. Zresztą czegóż można się spodziewać po mężu stanu, który obwołuje dramaturga Lauffa w uniformie wojskowym *poetą laureatem*, a jego uscenizowany brzęk szabli, warkot bębnów i dźwięk puzonów traktuje jako objawienie geniusza. W oczach pruskiego ministra tak zwanej oświaty wierszokleci Willenbruch i Lauff reprezentują Odrodzenie, a skargi puszczyków dziennikarskich są tylko natrętnem zrzędzeniem, które należy puszczać mimo uszu. Nareszcie jednak i urzędowy *Reichsanzeiger* pospieszył z pomocą znękanej sztuce dramatycznej: pierwsze oznaki spotęgowanej opieki urzędowej wystąpiły na jaw: cenzura teatralna została obostrzoną, a niewinna farsa Blumenthalowska obdartą z pierzy pieprznego dowcipu, prasa zaś zawodzi dalej, iż teatr goni ostatkami. Niestety, jest w tych datujących się od lat kilku żalach Hiobowych wiele prawdy, jakkolwiek z drugiej strony zachodzi wątpliwość, czy da się zmienić stan rzeczy, będący wynikiem długiego rozwoju.

Instytucya, zwana wolnością procedury i powołana do życia przed laty trzydziestu, dokonała przewrotu w dziejach sceny niemieckiej. Ponieważ w myśl ustawy, opartej na ideałach manczesteryzmu, dyrektor teatru jest pospolitym przedsiębiorcą, jak każdy inny *businessman*, ponieważ interes jest świątynią, do której nie ma wstępu prawodawstwo, przeto dyrektorem może być pierwszy lepszy geszefciarz, o ile złoży pewną kaucyę. W ten sposób teatr stał się ofiarą spekulacyi i współzawodnictwa. Dyrektor, zakładając teatr, powierzał instytucyę patronatowi Goethego, Schillera, Lessinga lub któregokolwiek klasyka, a podczas jego otwarcia wygłaszał przy pomocy suflera wzruszającą mowę o odwiecznych zadaniach sztuki, co nie przeszkadzało handlarzowi przemyśliwać nad tem, jak z przedsiębiorstwa wycisnąć co najmniej przeciętną odsetkę zysku. Gdy zaś teatr był interesem wyśmienitym, Berlin wkrótce zaroił się od teatrów, a co za tem idzie, już po kilku latach dały się odczuć skutki „nadprodukcyi scenicznej.“ Wtedy to powstał okres epidomii premierowej. Spekulanci spostrzegli, iż premiera sprowadza przypływ do kasy. Jedni przychodzą, ażeby rozdawać wawrzyny lub karcić, drudzy, ażeby wystawić na pokaz swą tualetę i brylanty, inni w nadziei doznania nowych wrażeń literackich. To też każdy teatr fabrykował wówczas na gwałt premiery, które po dwóch przedstawieniach schodziły z repertuaru. Jeden z tutejszych teatrów nawet ciągnął dochody z zamawianych z góry tryumfów utworów premierowych. Ta epidemia nowości trwała niedługo. Kierownicy zauważyli wkrótce, iż *variatio delectat* a mała domieszka pikantnego sosu do poważnej strawy dramatycznej robi kasę. Tak np. uderzył wszystkich fakt, iż słynna artystka Sorma zawdzięczała swe powodzenie wykonaniu taranteli w akcie drugim w roli Ibsenowskiej Nory. Marya Reisenhofer, przygotowując się do roli Salomei w „Janie Chrzcicielu“ Sudermanna, brała przez sześć tygodni lekcye tańca u Turczynki, produkującej w Tingle-tanglu *danse du ventre*. Słynne artystki były szczęśliwe, gdy mogły ukazać się publicznie w roli „Zazy“ Bertona, a niektóre nie gardziły nawet rolą bohaterki-subretki z „Madame de chez Maxime“ Bissona. Ażeby dokonać zatem organicznego połączenia pożytecznego z przyjemnem, większość teatrów ochrzciła się „Rauchtheater,“ tj. pozwoliła publiczności palić, a wraz z tem luzował dramat farsa i wodewil. Była to druga faza rozwoju, podczas której atoli stan interesów bynajmniej się nie poprawił. Jeden teatr za drugim ogłaszał upadłość, dyrekcye zmieniały się z kalejdoskopową szybkością i wtedy to właśnie wystąpił nowy, smutny objaw upadku teatru. Poważne artystki dramatyczne zaczęły przechodzić na deski tingletanglów. Widząc, w jaką stronę wieje wiatr popularności i powodzenia, spekulanci teatralni dokonali nowego przeistoczenia: wodewil ustąpił miejsca operetce i baletowi. Na to złożyły się fakty szczególne natury społecznej. Chmary sił artystycznych, ofiarowujących swój talent i wybujałe współzawodnictwo pomiędzy nimi powołało do życia liczne agentury handlowe, pośredniczące pomiędzy dyrektorami a aktorami, oczywiście za sutą zapłatę, której koszty ponosi najmita artystyczny. Artystki opłacają w dwój i w trójnasób przysługę szlachetnego dobroczyńcy, wyszukującego dla kandydatki przytułek sceniczny. Zdarzają się wypadki, iż artystki początkujące odstępują z góry połowę pensyi, aby tylko otrzymać możność występu publicznego. W dodatku artystka jest obowiązana na własny koszt sprawiać sobie garderobę, a od rozmaitości i kosztowności tej ostatniej zależy w dużej części powodzenie. To zaś ciężary finansowe obarczają artystkę tak daleco, że chcąc nie chcąc, musi z góry uciec się do hojnej pomocy protektora. Doświadczenie wykazało, iż ci mecenasowie lgną przeważnie do kapłanek operetki i baletu. Prawdopodobnie wskutek odpowiedniego poziomu wykształcenia „przyjaciel“ nie rozumie artyzmu bez śpiewu i tańca. Dyrektor, któremu zbytnio nie zależy na powadze swej instytucyi, może w ten sposób dość łatwo zwalić część swych wydatków i kłopotów na finansistę, popierającego tę lub ową artystkę. Jeden z najbardziej znanych teatrów operetkowych utrzymywał się przez czas jakiś tylko z zapomóg tych przyjaciół sztuki, wśród których figurował nawet redaktor. W każdym razie kierownik operetki mniej doznaje kłopotu, niż zwolennik sztuki poważnej. Stopniowo więcześlizgiwano się po pochyłości ustępstw od komedyi ku „Pięknej Helenie“ i „Wyspie Zielonej.“ Tu jednak teatr zetknął się z poważnym rywalem w postaci przytułków muzy podkasanej. Tingel-tangle bowiem, widząc, co się święci, stopniowo rozcieńczały swój program, łechcący nerwy, domieszką literacką w lepszym stylu. Zaczęto wprowadzać na scenę nietylko maleńkie sztuki pantomimiczne, ale w przerwach pomiędzy łamańcami akrobaty i dowcipami błazna wystawiano jednoaktowe komedyjki i wygłaszano monologi, śpiewano arye i w tym celu dyrektorowie werbowali najpoważniejsze siły operowe i dramatyczne. Kuplety łączono z satyrą społeczną, nie gardzono recytacyą utworów lirycznych przy akompaniamencie muzyki. Wszystko to wzmocniło popularność tingel-tanglów i psuło szyki teatrowi. Odtąd mowy już być nie mogło o pedagogicznym i umoralniającym wpływie sceny. Instytucya, która za probierz działalności swej uważa wyłącznie dochód kasowy, nie może oddziaływać na serca i umysły. Jako odtrutka przeciw teatrom, uganiającym się jedynie za popularnością, powstały tu jeszcze przed laty t. zw. wolne sceny zorganizowane w formie stowarzyszeń prywatnych. Do ostatnich czasów istniało tu sześć takich scen wolnych: „Freie Bühne,“ „Freie Volksbühne,“ „Neue freie Volksbühne,“ „Versuchbühne,“ „Dramatische Gesellschaft“ i „Secessionsbühne.“ Niestety, dotychczas skutki dobrych chęci są prawie żadne. Szeroki ogół idzie na lep efektownych dekoracyj, śpiewów i tańców. Nawet teatry królewskie zdały się na łaskę tego prądu. Jeden z nich wystawia tylko operetki, drugi urządza cykle tego rodzaju przedstawień. Opera królewska w swem rocznem sprawozdaniu podkreśliła, iż cykl Straussa uratował jej budżet od niedoborów. Czyż należy żądać wobec tego od przedsiębiorców prywatnych samopoświęcenia i uczuć apostolskich, tem bardziej, iż szanse pomyślnego współzawodnictwa wciąż maleją. Tingeltangle tak obecnie obrosły już w pierze finansowe, iż są w stanie, jak np. „Wintergarten,“ płacić artystkom po 1,000 marek za występ. Prasa, ta sprzedajna i bezwyznaniowa rajfurka, swemi sążnistemi sprawozdaniami, nastrojonemi na ton wysokiego zachwytu, przechyla szalę zwycięztwa na stronę przybytków zawoalowanego wszeteczników.

Czyż niema wyjścia z tego rozpaczliwego i haniebnego stanu rzeczy? Jedne lekarstwa dość homeopatycznej natury przychodzą od estetyków, inne środki ratunkowe, delikatnie stosowane, od — szutzmanna. Ferdynand Avenarius, znany działacz na polu sztuki dyletanckiej, pierwszy wydał hasło: „porzućcie wszelką nadzieję!“ Konieczność rezygnacyi każe nam nie odwracać się w rozpaczy od tingeltanglów, lecz przeciwnie starać się uszlachetnić je, a zwłaszcza trzeba spotęgować w ich przedstawieniach pierwiastek estetyczny. Richard Dehmel, młody liryk, idąc za tą radą, napisał już nawet w tym sensie pantominę „Lucifer, ein Tanz- und Glanzspiel,“ a w przedmowie, napisanej do tego utworu, rozwinął program „estetyzowania“ cyrków, baletów itp. Schultze-Naumburg snuje dalej przędzę tych dążeń i kładzie nacisk na tanice jako środek produkcyi estetycznej. Podobnież jak t. z. „Serpentyna“ stanowi piękną, harmonijną całość, której nie trudno nadać pewną ideę, tak każdy taniec przy odpowiednim układzie kostiumu, pozycyi ciała i ruchów, może stać się wyrazem twórczości estetycznej. W połączeniu z deklamacyą może wskrzesić prawa rytmów i zaniedbanych w naszej kulturze ruchów rytmicznych.

Po co jednak ta głęboka filozofia. Niebieski ołówek augura teatralnego może więcej dokonać, niż rady gryzipiórków. Kuracya chorego odbywa się tak: trzeba przedewszystkiem ochronić go od potęg nadwyrężających jego zdrowie. Gdy więc autor tutejszy pisze dramat, w którym przedstawia losy stowarzyszenia zawiązanego w celu walki z niemoralnością, a jednak zbaczającego na bezdroża obłudy, to schutzman kładzie swe veto. „Władza ciemnoty“ Tołstoja doznaje anatemy policyjnej, farsa Blumenthala wpada również w niełaskę, przytem policya zapowiedziała, że będzie się odtąd trzymała „stałych zasad“... oczywiście tylko względem teatrów, a nie tingel-tanglów. Jakiego rodzaju są te zasady, łatwo się domyśleć. Gdy przed kilku laty dyrektor teatru zwrócił się do policyi z zapytaniem, co zdrożnego odkryła w „Końcu Sodomy“ Sudermanna, odpowiedziano mu krótko węzłowato: „cały kierunek literacki nam się nie podoba.“ Minister, przestudyowawszy wzdłuż i wszerz cały dramat, udzielił pozwolenia. Pomimo to spotkała go nagana. Gdy tłomaczył się, iż postawił sobie pytanie w duchu: „czy mógłby oglądać sztukę w towarzystwie żony,“ odparto mu energicznie: „A czyś pan pomyślał, o ile możesz oglądać je w towarzystwie dzieci?“ W przyszłości więc zmyślność i moralność niemowląt będą najwyższemi instancyami literackiemi.

*H. F.*

## POEZYE

### Bóg morza.

Bóg morza ponad nocnych fal czarne ogromy
Wypłynął — i pozostał martwo nieruchomy.
A spokój był i cisza ogromna—jakgdyby
Sen spadł na wodne lasy i na srebrne ryby —
A meduzy o blasku perły wypłowiałej,
Jak dzwony, w przezroczystej ciszy wód wisiały.

I był wpatrzony w zorzę bóg—i zadumany.
U nóg kłębiły mu się kwiaty morskiej piany,
A z dali niewidomej, z dali modrosinej
Słychać było, jak grały piersiami delfiny —
I tylko gdzieś daleko o skaliste bryły
Jego fale buntowne — jego myśli biły.

On zaś — bóg nieugięty, twórca wiecznotrwały,
On, co zbudował lądy, on, co wykuł skały,
On — żywioł wiekuisty, on — wina i kara,
On — twórca i niszczyciel, mściciel i ofiara,
On — moc fatalnie dzika, co burzy i tworzy —
Patrzył w królewski pierścień konającej zorzy.

I widział, jak ten pierścień, na niebie rozpięty,
Ginie. Widział strzaskane statki i okręty,
Widział na mokrym piasku ludzkie czaszki śpiące,
Widział strącone w przepaść gwiazdy i miesiące,
Widział, jak lądy runą, jak światy się walą—
I tylko on — bez końca myśli swoją falą.

I widział śmierć, kroczącą przez długie Epoki—
I ból tęsknoty żarł go bezmiernie głęboki.
A potem się zanurzył w głąb wody zielonej,
Gdzie wpośród wysp muszlowych kwitną anemony
I spokój był ogromny... tylko z dali sinej
Słychać było, jak grały piersiami delfiny.

*Władysław Sterling.*

---

## SPRAWY EKONOMICZNE

### ROZWÓJ PRZEMYSŁU WIELKIEGO

w Królestwie Polskiem.

Autor książki, która niedawno wyszła pod powyższym tytułem, Stanisław Koszutski, stawia sobie zadanie bardzo obszerne. Chce on zapełnić lukę dotkliwą w literaturze naszej, powstającą stąd, że „nie mamy dotychczas książki, któraby zawierała dokładną charakterystykę rozwoju przemysłu u nas w wieku bieżącym, wyjaśniła rolę poszczególnych czynników tego rodzaju, wykazała jego cechy główne oraz związek pomiędzy rozwojem przemysłowym kraju i innemi zjawiskami życia społecznego.“ Zadanie niełada, jeżeli się weźmie w rachubę szczupłość i niedokładność źródeł urzędowych z jednej, ogrom kwestyi z drugiej strony.

Słusznie zaznacza autor, że prace Załęskiego, Janżuła, Światłowskiego są przestarzałe, a po części niedokładne. Praca pani dr. R. Luxemburg, o której autor, nie wiadomo na jakiej zasadzie, twierdzi, że „posiada w znacznym stopniu charakter kompilacyjny,“ nie wyczerpuje bynajmniej kwestyi, gdyż autorka, nie kusząc się o odzwierciedlenie dokładne stanu przemysłu wielkiego, stara się jedynie o scharakteryzowanie ogólnych tendencyj w rozwoju tego przemysłu.

Chcąc wyjść z zamętu, jaki panuje u nas w pojęciach o historycznym przebiegu rozwoju ekonomicznego, zdaje się nam niezbędnem sięgnąć daleko wstecz, zbadać losy ekonomiczne Polski przedrozbiorowej. Pomimo bowiem rozkwitu naszego dziejopisarstwa politycznego, błądzimy po omacku, gdy chodzi o sprawy ekonomiczne przeszłości. Wielka rewolucya, wywołana w wieku XVI przejściem od gospodarki naturalnej w rolnictwie do gospodarki opartej na wywozie zboża, zostające w związku z tem wydziedziczenie włościan, bezsprzecznie wywarła wpływ decydujący na cały dalszy rozwój ekonomiczny kraju. Wielka ta sprawa czeka dotąd swego dziejopisa. Historya cechów, historya kupiectwa polskiego również nie była dotąd nigdy badaną przez ekonomistę z zawodu. Działalność reformatorska w w. XVIII i wysiłki „stworzenia manufaktur“ znalazły opracowanie w nieocenionem dziele Korzona. Wszakże i tu ekonomista z zawodu, korzystający ze zdobyczy szkoły historycznej na Zachodzie, znalazłby bez wątpienia całą otchłań kwestyj ciekawych, tem ciekawszych, że zbadanie ich mogłoby rzucić niezmiernie wiele światła na okres następny, okres rzeczywistego dźwigania się. Już sama np. kwestya drugorzędna, kwestya obiegu pieniężnego, na którą światło błyskawiczne rzuca wielki „krach,“ spowodowany bankructwem Teppera i innych, dotąd, pomimo „Dziejów wewnętrznych“ Korzona, pozostaje wielką zagadką dla każdego, kto patrzy okiem ekonomisty, a tylko ekonomista mógłby ją rozwiązać. Dopiero na podstawie takich studyów otrzymalibyśmy możność ocenienia „okresu przejściowego“ kapitalizmu naszego, okresu długiego, bo sięgającego aż szóstego dziesięciolecia wieku bieżącego.

Autor nasz dawnej Polsce poświęcił 12 stron, na których nie po nad to, co było znanem, nie powiedział. Nie dodał też nowych rysów do charakterystyki polityki ekonomicznej Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, działalności ks. Lubeckiego, hr. Łubieńskiego, Steinkellera, i forsownego popierania przemysłu przez Bank Polski. Tymczasem właśnie ta działalność wymagałaby oceny krytycznej wobec tego, że dotąd znajdowała tylko „historyków,“ śpiewających hymny pochwalne, jak np. Rutowski, którego słowa bez komentarzy powtarza autor. Byłyby zaś tu do zbadania wcale ciekawe kwestye, rzucające znów światło ciekawe na erę początkową kapitalizmu naszego! Znany np. jest fakt, że „popieranie przemysłu“ miało charakter popierania matadorów przemysłu, że działalność Banku Polskiego (świadomie czy nieświadomie? — tego nie wiemy) była wprost zabójczą dla przedsiębiorców drobniejszych, ponieważ ci znikąd nie otrzymywali kredytu, którym Bank tak hojnie szafował na korzyść ich przemożnych współzawodników. Czy ta polityka ekonomiczna Banku zawsze była racyonalną, czy nie przyczyniła się ona do tego, że w pewnych gałęziach przedsiębiorstwa wielkokapitalistyczne, rozrastające się jak grzyby, otrzymały faktycznie monopol? Czy cała ta polityka protekcyonizmu, przy której szafowano funduszom kraju, zawsze była rzeczywiście z korzyścią dla kraju? Oto pytanie, na które odpowiedzieć może tylko szczegółowa krytyka.

Zasługą p. Koszutskiego jest zebranie i usystematyzowanie całego materyału cyfrowego, dotyczącego poszczególnych gałęzi przemysłu. Książka jego zawiera dane statystyczne, sięgające dla pewnych gałęzi przemysłu wstecz do 1840 r., a taki materyał w pewnych razach może oddać usługi poważne. Nie należy wszakże zapominać, że jest to materyał bardzo a bardzo wątpliwej wartości. Autor doskonale zdaje sobie z tego sprawę i kładzie nacisk na niedokładność tej statystyki (str. 80—83). Wystarczy przytoczyć jeden przykład dla ilustracyi tej kwestyi. Na str. 89 przytacza autor dane urzędowe o przemyśle bawełnianym; według tych danych wartość produkcyi wynosi 59½ mil. rubli, lwia część przypada na gubernię Piotrkowską, na Warszawską zaś przypada jakoby 115,914 rb.; liczba fabryk wynosi 2 (sic!), a liczba robotników 92. Oczywiście pominięto tu produkcyę bawełny Żyrardowa, jakkolwiek zakład ten posiada przędzalnię, tkalnię bawełny i pończoszarnię, w której produkuje towarów bawełnianych na bardzo pokaźne sumy; przytem przędzalnia żyrardowska produkuje nietylko na potrzeby tkalni i pończoszarni, lecz sprzedaje przędzę, przeważnie wysokich numerów, współzawodnicząc tu skutecznie z Łodzią i Ozorkowem. To pominięcie Żyrardowa jest zatem wprost dziwolągiem statystycznym. Lecz pierwszy lepszy subjekt, pracujący w jakimkolwiek składzie hurtowym przędzy bawełnianej na Nalewkach, a jest ich tam kilka, uśmiałby się serdecznie ze statystyki, która wykazuje na całą Warszawę 2 fabryki wyrobów bawełnianych. Statystyka uważa za „fabrykę“ każdy zakład, zatrudniający najmniej 16 robotników lub posiadający motor parowy. Nasz subjekt wyliczyłby bez trudu w samej dzielnicy Nalewkowskiej śród swoich klientów kilka tkalni wstążek i tasiem, fabryk haftów bawełnianych, tkalni pluszu bawełnianego, pończoszarni podpadających pod tę kategoryę, potem przypomniałby, że jest w samej Warszawie kilka pończoszarni wcale pokaźnych itp. Za dowód zaś objektywny swoich twierdzeń mógłby przytoczyć fakt, że w Warszawie istnieją farbiernie przędzy bawełnianej, które nie miałyby tu co robić, gdyby nie było fabryk wyrobów bawełnianych. Dlaczego te zakłady pominięto w statystyce urzędowej — nie wiadomo!

Koszutski zatem za wzorem prof. Załęskiego, obok danych urzędowych, podaje dane te powiększone o $^1/_4$, sądząc, że takie cyfry „będą malowały obraz bliższy rzeczywistości.“ Jednakże stosuje on ten środek tylko do cyfr dotyczących produkcyi i liczby robotników, nie zaś do liczby fabryk. Taki rachunek nie zupełnie zdaje się nam uzasadnionym. Jeżeli np. cyfra urzędowa wykazuje wartość produkcyi bawełnianej na 59,426,000 rubli, ilość zakładów 75, ilość robotników 34,223, to słusznem jest, że cyfra dla wartości 74,282,500 rubli i ilości robotników 42,779 prędzej będzie odpowiadała rzeczywistości. Lecz iloraz 990,433 rb., wyrażający wartość produkcyi na jedną fabrykę, obliczony przy niezmienionym dzielniku (liczba fabryk) oraz iloraz 570 robotników, przypadających na jedną fabrykę, będzie nie mniej wątpliwą, niż ilorazy 792,347 rubli i 456 robotników, wypadające z danych urzędowych.

Koszutski powiada: „Czasami jasnem jest, że niektóre z nich (cyfr urzędowych) zawierają jakiś błąd rażący, wyobrażają nieprawdopodobne stosunki, zwłaszcza w porównaniu z sąsiedniemi latami i pozycyami, wobec jednak braku danych wiarogodnych, każda taka cyfra ma wartość niemal na wagę złota.“ Nie sądzimy. O ile chodzi o najbardziej razową charakterystykę położenia, trzeba opierać się na tych cyfrach, bo innej rady niema. Lecz dalsze już wnioski o przebiegu procesów ekonomicznych, o intensywności zwłaszcza tych procesów, nie mogą być w żadnym razie oparte na takim materyale cyfrowym. Kiedy np. Koszutski wyprowadza wniosek: koncentracya wielkoprzemysłowa szła więc olbrzymimi krokami, zwłaszcza od r. 1884 wykazując wielki rozpęd w tym kierunku, głównie w ostatnich latach 1891—95,“ opierając się na cyfrach, z których ma wynikać, że wartość produkcyi bawełnianej, przypadającej na jedną fabrykę, wynosiła w 1870 r. 26,000 rb., w 1884 — 171,000 rb., w 1891 — 292,000 rb., to wniosek może być słusznym w zasadzie, lecz o intensywności tego procesu cyfry te dają zgoła bałamutne pojęcie. Tak samo nie wolno też powoływać się na cyfry, wyka-

żując rzekomo, że na jedną fabrykę wyrobów bawełnianych przypadało w r. 1870 35 robotników, w 1884 — 95, a w 1895 — 570, dla twierdzenia „o bardzo szybkim wzroście przedsiębiorstw wielkich a zanikaniu mniejszych." Lewiatany przemysłu bawełnianego, zakłady Scheiblerowskie, Zawiercie, Poznańskich, wzrosły niepomiernie szybko, lecz żeby ogólna liczba zakładów spadła z 240 w r. 1884 na 75 w r. 1895, temu nikt, obeznany z tą gałęzią przemysłu, poprostu nie wierzy.

Tak samo nie uzna bez wątpienia nikt za zgodne z prawdą cyfry, powtarzające się w pracy Luxemburgowej i Koszutskiego o wzroście maszyn parowych w ciągu dwu lat (1890—92) w gałęziach nieobłożonych akcyzą z 41,303 koni parowych do 81,346. Takiego skoku przemysł nie uczynił, nie uczyni nigdy. Musi tu chodzić o jakąś zmianę w systemie liczenia, lub o prosty błąd w źródłach urzędowych.

Nie wszystkie cyfry zasługują na taką nieufność. W górnictwie np. statystyka jest bez wątpienia dokładniejszą; cyfry dotyczące gałęzi przemysłu, podlegające akcyzie, również są wiarogodne, gdyż podlegają ścisłej kontroli. Ogólnie wszakże dochodzi się do wniosku, że takim materyałem budować nie można, że oparty na takich cyfrach wizerunek położenia przemysłu musi być w ważnych bardzo rysach opacznym. Sumienna praca Koszutskiego tego przedewszystkiem dowodzi. Autor dał, co mógł dać, i za to należy mu się uznanie, lecz zarazem praca jego wykazała, że należy szukać innych dróg, by dotrzeć do prawdy. Jakie mogą być te drogi? Widzimy tylko jedną: opracowanie monografii o różnych gałęziach przemysłu przy udziale specyalistów obeznanych dokładnie z praktyki przemysłowej czy kupieckiej z temi dziedzinami. Wszędzie, gdzie nasz autor mógł się oprzeć na takich monografiach — np. w opisie rozwoju przemysłu górniczego — kreślony przezeń obraz nabiera żywości i podobieństwa.

Na szczególną uwagę zasługuje rozdział końcowy książki, zatytułowany: „Zaludnienie Królestwa Polskiego w związku z rozwojem przemysłu wielkiego." Wiązanka cyfr, podanych tutaj, lepiej świadczy o procesie, jaki przechodzi kraj nasz, stając się przemysłowym, niż cyfry o produkcyi i ilości fabryk, więcej niż wątpliwej wartości. Mamy tu świadectwa wiarogodne o szybkim wzroście miast, o zmianie zachodzącej w składzie ludności. Tak np. w r. 1857 ludność Królestwa wynosiła 4,734,000, w 1897 — 9,457,000; z tej liczby na ludność miejską przypada w r. 1857 25,5%, w r. 1897 — 31,5%; ogół ludności w tym okresie 40-letnim wzrósł o 99,7%. Oczywiście ta ludność, nagromadzająca się w miastach (a cyfry wykazują, że najszybciej wzrastają miasta przemysłowe), jest w znacznej części ludnością robotniczą. Ile jest tej ludności robotniczej? Statystyka urzędowa wykazuje 246,737 ludzi zajętych 1897 r. w „przemyśle wielkim," tj. w zakładach fabrycznych, zatrudniających więcej, niż 16 ludzi i używających motoru parowego. Robotników zatrudnionych w warsztatach drobniejszych autor taksuje na 15—25 tysięcy; jak sam powiada, jest to liczba zbyt szczupła, należy ją co najmniej podwoić. Do tego należy dodać robotników kolejowych i oficyalistów zajętych w handlu, robotników tramwajowych, a dalej woźniców, dorożkarzy, posłańców, stróżów, szwaczki, praczki itd., aby otrzymać liczbę proletaryatu miejskiego, żyjącego wyłącznie z pracy rąk. Ilu ich jest? Nie wiadomo! Autor oblicza na każdego robotnika 3—4 członków rodziny i na tej zasadzie dochodzi do wniosku, że tego proletaryatu może być 1,2000,000—1,500,000 głów. Rachunek wydaje nam się o tyle nieracyonalnym, że w przemyśle wielkim, jak wiadomo, pracuje znaczna liczba kobiet i dzieci (według danych urzędowych, przytoczonych przez autora, z owych 250,000 ludności robotniczej jest 58,818 kobiet i 11,784 dzieci), a w takim razie nie można stosować takiego obliczenia. Ponieważ wszakże liczba zatrudnionych w zakładach fabrycznych mniejszych i w warsztatach jest obliczona przez autora za nizko, suma ogólna nie może mniej więcej odpowiadać rzeczywistości. Słusznie też powiada autor, że „cyfra ta ma dużą doniosłość społeczną, winna bowiem na nią zwrócić uwagę zarówno zabiegliwość społeczna, dbała o dobro ogólne, jak statystyka i prawo, polityka ekonomiczna i ekonomia polityczna."

*Dr. J. B. Marchlewski.*

# KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** Od początku działalności swojej w Królestwie Polskiem Bank włościański pomógł do rozparcelowania 643 majątków, tj. około 7% ogólnej ilości majątków w kraju. Jednocześnie Bank włościański spłacił Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu 5,600,000 rb. pożyczek na tych majątkach zabypotekowanych, Towarzystwo przeto na taką sumę mogło wycofać z obrotu 4½-procentowych listów zastawnych. *Warsz. Dn.* podaje te liczby dla zaznaczenia, że wobec działalności Banku włościańskiego Towarzystwo kred. ziem. uszczupla się zarówno pod względem ilości stowarzyszonych, jak i rozmiarów swoich operacyj. Właścicieli ziemskich, stowarzyszonych w Towarzystwie kredytowem ziemskiem, jest dzisiaj 9,640.

— Władza zezwoliła na zbieranie składek do wysokości 150 tys. rubli na odbudowanie wieży kościelnej w Częstochowie.

— W *Zdrowiu* dr. St. Kozłowski zamieścił artykuł: „Co wiemy o żywieniu się ludu naszego?", w którym między innemi zwraca uwagę na wpływy ujemne dewocyi. „Ponieważ obecne wymagania i przepisy kościelne, tyczące się postów, nie są dokładnie znane naszemu ludowi, przeto czy nie mogłoby Towarzystwo hygieniczne zwrócić się do władzy duchownej z prośbą po: 1) aby ona nakazała proboszczom szczegółowo wyjaśnić dzisiejsze wymagania przepisów kościoła, które nie są tak twarde, jak zwyczajowo przestrzegane w niektórych okolicach u ludu naszego i 2) z prośbą o wyjednanie dyspensy stałej dla tych dyecezyj, które jej nie posiadają, a któraby pozwalała na używanie nabiału przez rok cały z możliwie najmniejszemi ograniczeniami. Post tylko z olejem szkodliwie musi oddziaływać na zdrowie i rozwijające się organizmy naszych włościan. Zmniejszona znacznie ilość przyswojonego białka, bo do ⅓ normalnej i ubytek na wadze przez czas Wielkiego postu wskazuje dotkliwie na dużą krzywdę, jaką czyni ścisły post ludowi naszemu."

— Zatwierdzono „Towarzystwo akcyjne mieszkań hygienicznych dla ludności żydowskiej." Na czele Towarzystwa stoją baron N. Ginsburg i p. H. Wawelberg. Celem Towarzystwa jest dostarczanie biednym Żydom w guberniach zachodnich i w Królestwie Polskiem mieszkań tanich i dogodnych, warsztatów rzemieślniczych i gruntów podmiejskich na sady owocowe i ogrody warzywne. Kapitał Towarzystwa wynosić będzie 500,000 rb. z podziałem na 2,000 akcyj po 250 rb. Zarząd mieścić się będzie w Petersburgu. Jeżeli akcye dadzą dywidendę, to 4% zabiorą akcyonaryusze, resztę zaś obróci się na wsparcia dla rzemieślników i ogrodników, na kuchnie tanie, sklepy spożywcze, ochronki dla dzieci itp. Międzynarodowe Towarzystwo żydowskie „Ica," założone z inicyatywy i za pieniądze barona Hirsza, kupiło już 900 takich akcyj za 225,000 rb.

— *Siew. Kurjer* w nr. 30 powiadamia, że sędzia śledczy m. Mitawy poszukuje zbiegłego bez śladu nauczyciela gimnazyum mitawskiego, radcę stanu i znanego archeologa, Karola Boja, oskarżonego o zbrodnię przewidzianą w art. 993 i 996 kod. kar., tj. o demoralizacyę małoletnich i występki przeciwne naturze. Pan K. Boj miał pensyonat poprawczy dla synów rodzin zamożnych i cieszył się wielkiem poważaniem w kołach pedagogicznych.

**Prasa.** Na stanowisko redaktora *Przeglądu Technicznego*, opróżnione wskutek zgonu ś. p. J. Grabowskiego, powołany został inżenier J. Heilpern. *Przegląd Techniczny*, poczynając od nr. 41, pozostaje pod kierunkiem nowego redaktora, oraz komitetu redakcyjnego, złożonego z pp.: inż. Z. Błachowskiego, arch. Cz. Domaniewskiego, inż. J. Gryżewskiego, inż. St. Jakubowicza, inż. J. Michalikowskiego, inż. K. Obrębowicza, arch. Br. Rogóyskiego, inż. Al. Rosseta, inż. T. Witkowskiego i inż. St. Zielińskiego. Do czasu zatwierdzenia nowego redaktora przez departament prasy podpisywać będzie *Przegląd Techniczny* w charakterze redaktora odpowiedzialnego i nadal p. inż. Adam Przes...

**Ruch kobiecy.** Belgia zyskała świeżo dwie nowe przedstawicielki nauki prawa w osobach panien Delchef (Liège) i Gilain (Bruksella).

— W Paryżu 12 kobiet (w tej liczbie 4 Rosyanki i 1 Polka, z odznaczeniem) otrzymały stopień doktora.

— W Kapsztacie kobiety protestowały przeciwko anneksyi Transwalu. Petycya wystosowana do królowej angielskiej pokryta została podpisami 16,750 kobiet. Doręczył ją Chamberlain — odpowiedzi nie było.

— W Szanghaju w szpitalu im. Margaret Williams dla kobiet i dzieci cały personel stanowią kobiety-lekarki Angielki i Amerykanki; dozorczynie pochodzą z ludności miejscowej.

— Chiny posiadają autorkę dramatów, Wionew, która obecnie objeżdża Amerykę. Jeden z jej dramatów został obecnie wystawiony w San Francisco.

**Sprawy ekonomiczne.** *Siew. Kurjer* (nr. 313) donosi o spółce handlowej, utworzonej przez wybitnych przemysłowców łódzkich dla sprzedaży węgla po cenach *normalnych*. Kapitał zakładowy spółki wynosił 9,000 rubli, obrót roczny dochodził 1,500,000 rb., czysty zysk (2% od obrotu) 30,000 rb., a więc dywidenda od kapitału zakładowego 333%. Wymowne cyfry!

— Najwyżej zatwierdzona stała rada przemysłowców metalurgicznych wydelegowała inżeniera Żukowskiego do Niemiec, aby „oświetlić i wskazać zasady i reformy pożądane i możliwe do wprowadzenia w państwie rosyjskiem, bez nadzwyczajnych przewrotów w zakresie stosunków prawnych i życiowych a odpowiadające dojrzałej potrzebie uregulowania kwestyi robotniczej." Z podróży po Niemczech i Austryi przywiózł p. Żukowski broszurkę („Podstawy prawodawstwa robotniczego w Niemczech"), która kończy się przypuszczeniem, że „za dwadzieścia lat konieczność państwowa wymagać będzie uprawnienia robotniczych związków zawodowych."

## Odpowiedzi Redakcyi.

*P. Er-et.* Nie skorzystamy. Niebawem rozpoczniemy druk dłuższej i wszechstronnie przedmiot ogarniającej pracy.

*P. H. Z.* Nie wydrukujemy.

*P. Kellesowi.* „Wieczornej modlitwy" nie zamieścimy.

*P. Piątk.* Brak nam wiadomości specyalnych, aby ocenić doniosłość Pańskich pomysłów.

*F. N. P.* „Błędne koło" nie może być drukowane.

*Panu Medykowi w Łodzi.* Spóźnił się sz. Pan — sprawozdanie otrzymaliśmy przed kilkunastu dniami i niebawem wydrukujemy.

— Ze spadku po zmarłej dnia 12 września 1876 r. ś. p. Józefie Sierakowskiej, przeznaczoną została przez jej spadkobierców, aktem urzędowym w d. 19 lutego (2 marca) 1888 roku zeznanym, na własność Kasy pomocy naukowej imienia Józefa Mianowskiego suma 6,000 rubli, jako fundusz żelazny, od którego procenty obracane być mają na zapomogi, stosownie do celów Kasy, dla synów podupadłych lub zubożałych właścicieli ziemskich, wyznania rzymsko-katolickiego, z guberni Płockiej, a w ich braku dla innych osób wedle uznania zarządu Kasy.

W myśl powyższego przeznaczenia funduszu, zatwierdzonego przez Rząd, komitet zarządzający Kasą wzywa osoby, pracujące na polu naukowem, a chcące ubiegać się o zapomogę, aby w ciągu trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia złożyły w biurze Komitetu (Niecała nr. 7) lub do rąk jednego z członków Komitetu stosowne podanie, z wyszczególnieniem podjętych prac naukowych i miejsca stałego zamieszkania. Kandydaci, roszczący prawo do pierwszeństwa w otrzymaniu zapomogi, winni dołączyć do podania akt urodzenia i wiarogodne zaświadczenie, że pochodzą od podupadłych lub zubożałych właścicieli majątków ziemskich w g. Płockiej.

W końcu nadmienia się, że stosownie do § 2 ustawy Kasy, zapomogi mogą otrzymywać tylko poddani rosyjscy, o ile nie przebywają za granicą bez pozwolenia rządu i że wedle zastrzeżenia przez władzę postanowionego, zapomoga przyznana kandydatowi, kształcącemu się w jakimbądź zakładzie naukowym okręgu naukowego warszawskiego, będzie wypłacona dopiero po zatwierdzeniu wyboru przez Kuratora tegoż okręgu.

Warszawa, d. 26 września 1900 r.

*Wyszła w osobnej książce dołączana jako dodatek do PRAWDY praca Maksimowa*

**Przestępcy polityczni i państwowi**

stanowiąca trzecią część dzieła **Syberya i ciężkie roboty.**

*Cena w Warszawie 1 rb. 20 kop., z przesyłką rekomendowaną 1 rb. 45 kop.*

## OGŁOSZENIA.




Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Октября 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.